



PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 46.

Warszawa, dnia 6 (18 Listopada) 1875 roku.

Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie rs. 6 k. „	rocznie rs. 8 k. —
półrocznie 3 „ „	półrocznie 4 „ —
kwartalnie 1 „ 50	w Austrii roczn. 14 guld.
miesięcznie „ 50	w Prusach „ 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY

wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCJA PRZY ULICY NOWY-SWIAT

NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w Poznaniu w księgarni Leitgeb i Spółki, we Lwowie w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w Krakowie w księgarni A. Nowoleckiego, w Wilnie u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

TREŚĆ. Zabawki dzieciinne. — Szpargały różnoczesne p. Zofję z Brzozówki (d. c.). — Zarysy gub. północno i połudn.-zachodnich p. Jana ze Słiwina (d. c.). — Gawędy higieniczne i lekarskie. XV. — Nasze czasopisma. — Gawęda ogrodnicza p. Jankowskiego. — Łowienie pereł na wyspie Cejlon. — Ślady życia. XLVI. — Fantazyja Dra Ox, przez Juliusza Verne (c. d.). — Biblioteczka domowa. — Gospodarstwo i przemysł domowy. — Rozmaitości. — Odpowiedzi Redakcyi. — Drzeworyty. Łowienie pereł na wyspie Cejlon. — Sary w lesie, rysunek K. Bodmer.

ZABAWKI DZIECIINNE.

Czy zwracałeś kiedy czytelniku uwagę na bawiące się dzieci? Zapewne, bo kogożby widok podobny zająć nie potrafił? Te pierwsze błyski samoistnego myślenia, ta rozwijająca się wyobraźnia, te wysilenia kilkoletniego malca aby domek z kart postawić lub w piasku lochy niby podziemne budować, toż to nie tylko dla pedagoga lub psychologa, ale dla najzwyczajniejszego myślącego człowieka rzeczy godne bliższej uwagi i zastanowienia.

Niejednokrotnie mieliśmy już sposobność mówić, jak się nam starać należy o rozbudzenie ducha samodzielności. Idea samopomocy jest tak doniosłą i tak niezawodną deską zbawienia, że każdy z nas winien ją upowszechniać wytrwale, wszędzie i na każdym miejscu.

Aby jednak propaganda taka mogła być systematyczną i skuteczną, potrzeba przede wszystkim oddziaływać izby przyjętą była za podstawę w wychowaniu młodzieży.

Wiemy dobrze, iż warunki z którymi umysłowy rozwój młodego pokolenia związanym być u nas musi, nie sprzyjają bynajmniej owemu tyle pożądanemu szerzeniu się zasad samodzielności życiowej; i ten wzgląd otoż powinien nas skłaniać, iżby to co jest niemożliwem w wychowywaniu publicznem, jak najstaranniej przeprowadzać w wychowaniu domowem. Tutaj spożytkować przedewszystkiem należy wszelkie środki pomagające do rozbudzenia ducha samoistnością zabawki dzie-

cinne są bezsprzecznie jednym z ważnych środków podobnych.

Skoro tylko dziecko poczyną pojmywać, poczyną równocześnie wyciągać rączki do zabawek, poczyną już kombinować i myśleć. O ile więc przedmioty ku którym młodziutka myśl wybiega, będą ściślej i systematyczniej do pierwotnych pojęć zastosowane, o tyle i myśl sama pewniej kształcić, rozwijać i wyrabiać się może.

Innemi słowy, jeżeli zabawki mogą służyć za jeden z najskuteczniejszych czynników pierwotnego umysłowego rozwoju, to o tyle rozwój ten stać się może więcej niezależnym i pewnym siebie, o ile wybór zabawek sprzyjać temu potrafi.

Czy atoli wybór ten potrzebujemy tutaj szczegółowo określać? Sądźmy, że zamiast długich ogólnikowych wywodów, zamiast przytaczania czemuś dzieci w danych epokach wieku bawić się winny, a co przeciwnie usuwać z pomiędzy ich rozrywek należy, postawimy kwestyją nierównie jaśniej, zwracając się wprost do... metody froebelskiej.

Czem pomysł znakomitego pedagoga stał się już obecnie na polu wychowawczem gdzieindziej, jak szerokie np. w Niemczech znalazł już zastosowanie praktyczne i do jakich rezultatów prowadzi, nie potrzebujemy rozwodzić się zbyt długo, boć fakta te powszechnie chyba dziś są znane. Rzeby nawet można, że tam gdzie pedagogika na przynależne jej stanowisko, oddawna już wprowadzoną została, nie ma może jednego wychowawcy, któryby znając potężny wpływ zabawek na rozwój i kierunek umysłowy dziecka, nie stawiał na czele bło-

stawionych że tak powiemy „darów froebelskich.“

Dary te tam, to właśnie najpopularniejsze z zabawek, które we wszystkich warstwach społecznych zyskują coraz szersze uznanie. Gdzie się obrócisz, wszędzie *zabawki uczące* zawczasu myśleć, widzisz w jak najszerszym użyciu. Obok mnóstwa zakładów, w których jak wiadomo metoda Froebela specjalnie uprawiana zostaje, nie ma może jednej matki myślącej, któraby rozpoczynając święty i wielki swój obowiązek, nie rozpoczynała go od zawieszenia nad kołyską niemowlęcia pierwszego „daru“ twórcy nowych zabawek. To też tam, gdzie dzieci w ten sposób się bawią, gdzie od najpierwszej chwili uczą się myśleć, tam mówimy i samodzielność umysłowa nie jest wyjątkową bynajmniej. Przeciwnie, pokolenia całe, ucząc się dzięki zabawkom, dość wcześnie samoistnie pojmywać, wyrastają na ludzi, u których poczęcie sił własnych staje się jednym z naturalnych i najtrwalszych przymiotów.

Tym to więc głównie może sposobem i idea zdrowej samopomocy zrastając się z duchową atmosferą dzieci, rozwija się tam następnie we wszystkich kierunkach spraw i zadań społecznych. Narody, gdzie dzieci systematycznie się bawią i bawiąc uczą się, zyskują następnie tem więcej obywateli *myślących*. A u nas? jak też kwestyją zabawek traktowaną zostaje?

Chcąc co do tego dać odpowiedź treściwą, wypadłoby powiedzieć, że u nas kwestyją o jakiej mowa, jest odbiciem całego systemu w pierwotnym wychowaniu okresie. Jak nie prawie w systemie tym nie jest systematem, jak wszystko skierowane jest ku zabiciu sa-

modzielnych władz duszy, tak też i sposób bawienia dzieci nie lepiej się przedstawia.

Zajrzyjmy na chwilę do dzieciennego pokoju zamożniejszych i nawet intelligentniejszych państwa X.; konie, koniki, lalki w materije strojne, baciaki w srebro oprawne, ptaszki śpiewające i t. p., wszystko to przywiezione wczoraj z pierwszorzędnego sklepu, dziś popsute i porozrzucane bezładnie, świadczy jedynie że „swawolne dziateczki,” znudziły się dość prędko. Troskliwy „papo” spieszy znowu do sklepu i znowu dostawia świeży transport zabawek, a dziateczki pobawiwszy się przez kilka godzin, porzucają je tak dobrze jak poprzednie, powtarzając: „mamo! ach jak mnie nudno!” W taki mniej więcej sposób dzieci u nas bawić się zwykły.

A nawet mniej zamożni rodzice robią nie raz „ofiary” aby synkowi za kilka lub kilkanaście rubli kupić ładnie ubranego konika, i aby zabawka ta posłużyła... w rezultacie do... znudzenia ich jedynaczka.

Czyż więc w obec podobnego systemu bawienia dzieci można się dziwić, że dzieci te nie przyzwyczajone do żadnych zgoła próbek... myślenia, bo samo użycie zabawek żadnego ze strony młodocianych umysłów nie wymaga trudu; czy można powtarzamy dziwić się, że dzieci, które w ten tylko sposób bawić się mogą, wyrastają następnie na bezmyślnych... półgłówków, których do samodzielnego postępu, nie już chyba nie jest w stanie zniewolić?

Nasze dzieci bezmyślnie się bawią, a nasza młodzież dorosła, bezmyślnie żyje i bezmyślnie... marnieje.

Wszakże zresztą i metoda owa froebłowska nie jest u nas całkowicie nieznaną; wszakże użycia jej nawet mamy już u siebie pewne jakby tu i ówdzie zaczątki; dla czegoż więc wstępne te usiłowania nie stają się impulsem do szerszego upowszechnienia jednego z najpożądniejszych w pierwotnem wychowaniu wpływów? Dla czego słowem dzisiejsze zabawki kosztowne a szkodliwe raczej niż pożyteczne, nie mogą zostać zastąpione takimi, które bawiąc popychałyby zarazem umysł dziecka na drogę samodzielności, i dla czego wreszcie, najzabawniejsza w tym ostatnim względzie metoda (Froebela) w każdym nie napotyka się domu?

Jan Jeleński.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

(ciąg dalszy)

IX.

„A ten Bóg, bez którego woli ani pyłek z kwiatu, ani włos z głowy nie spada, ten sam Bóg jest i dziejów ludzkich ojcem.” J. Kremer.

— Co też to ludzienie wymyśla goniąc za jakąś estetyką, uduchowieniem i tytuł wyrazami, których nie pojmuje doprawdy. Tak już ludzie zgłupieli, że lenią się jechać na sejmiki, a na marszałka to ciągnij kandydata choć na powrozie. Każdy wymawia się dziś od obywatelskiej posługi.

Tak rozprawiał ze swym sąsiadem łysy i podżyły dawnego autoramentu sejmikowicz. Chodził po błotnych ulicach powiatowego miasteczka, obchodził karczmy, zaziarał do każdej stodoły, dziwiąc się małej liczbie przybyłych, choć termin zjazdu za drzwiami. Pan sędzia Melchijor Kreskowicz był w desperacji, nie mógł pojąć żadną miarą dla czego tak zobojętnieli ludzie. Kogo spotkał narzekała największe znajdował współczucie w handlarzach, traktyjnikach i mamuniach, które nawiozły córce rade były iżby podróż się opłaciła.

Chwała Bogu, znalazł pan sędzia drugiego desperata, w osobie także sędziego pana Kaćpra Paprzycy. Pościagały się im twarze, zapadły głębiej oczy, bo snadź bezpowrotnie minęły czasy, kiedy to kaliszczan na pary mierzone, nie uważając że jacyś tam szubrawcy, w *Wiadomościach brukowych*, *Puros miosos kaliszczanos*, ich nazywali.

— O dawniej inaczej bywałoby obywatelstwa niby mrówek a możniejsi z kuchnią mosanie i kredensem a stół mosanie otwarty dla wszystkich.. Czasem, mówiąc nawiasem przyrzecze się komu białą a wrzuci czarną i osiada na koszu; a tymczasem kandydat kłania się panie, nadyma się pewny swego radością, aż tu *finfa* mosterdzieju, sam siebie przekreślał. O jakże lubię takie *finfy!* prawili p. Melchijor.

— Ba i ja rostem jak na drożdżach, kiedy bywało otwierają wazon, tę urnę sejmikowych świętości. Dziś martwo, głucho, starzy znudnieli, a młodzież Boże zmiłuj się, toć to panie do niczego.

Kiedy tak desperowali obaj sędziowie wbiegł faktor z oznajmieniem, że przyjechał p. Hektor Budrynkiewicz z całym dworem, że kazał natychmiast postawić dwa tuziny węgryna, starego miodu i porteru. Faktor ledwie oddychał z radości, a sejmikowicze zacierając ręce ruszyli do pana Hektora.

Pan Hektor był to szlachcic stary ale jary, ogromnego wzrostu, gęstej lecz dobrodusznej miny a zawsze wesoly. Wszędzie zostawiał po sobie ślady świetnego przechodu, tuzinami rozlewał szampana a w lipcu, w węgrynie, porterze, kapać się można było. W karty grał po pańsku, mało dbając o przegraną. Żadnego urzędu nie przyjmował, kontentując się spadkowym tytułem ostrzeszewskiego podstolica. Kochał sejmiki, jak się kocha sztuka dla sztuki. Stawił się więc z trzema synami i licznym taborem krewnych i przyjaciół.

Traktyjnik Tanchel latał jak podsmalony, potracając w pośpiechu bachorzeta i w roztargnieniu także zamiast starego wina podając nieraz zwietrzałą lurę. Czasem oberwał za to butelką, ale uśmiechał się wtedy, obcierał potłą krew z czoła, oblizywał się wdzięcznie, całował w rękę którego z paniczów, którego tak się zawsze żarty trzymają, a panicz w nagrodę zato zamiast sześciu kazał dwanaście dawać butelek.

Melchijor z Kacprem już znaleźli kilku pofnnych u p. Hektora wszyscy mu dziękowali za łaskawe przybycie na sejmiki.

— A witajcież mi, witajcie! Ale czemuż inni dotąd jeszcze pleśnią w domu?

— Nie ma bodaj nikogo. Wystaw sobie łaskawco, co to za niedyskrecja, co to za hultajstwo, wszakże to jutro otwarcie elekeyi,

przemówił pan Atanazy Butelkiewicz.

— A któż idzie do łaski, a jacy kandydaci? pytał pan podstolic.

— Wystaw sobie łaskawco, wieść niesie że pan Kłębek kwapi się ku temu, tylko bodaj że nie ma kwalifikaty boć przecie bez rangi.

— Wszakże stoduszowy a na marszałka to dosyć.

— Orznięto go na lniew Rydze, na pietnaście tysięcy rubli, to gdzie mu tam o lasce myśleć, rzekł pan Kacper.

— Oho, ta Ryga! znam ja szelmę dobrze, przewrwał z głębokiem westchnieniem p. Jacenty Śreniawa.

— I ja znam Rygę, wtrącił stolnikowicz. Tam miodem karmią, ale jak go połkniesz, to dziegieć panie poczujesz. Ja wiedziałem o tem i nie dałem się wystrychnąć na dudka; zato pan Jacenty, do dziś pewno pamięta jaką mu kurtę skrajali.

— Oj! pamiętam, pamiętam, a byliśmy z tym oto błaznem, mruknął Jacenty, wskazując na swego syna podrostka. I on wie co to Ryga.

— Wiem. Założyli ją kupcy bremeńscy w ro....

— Niech oni z piekła nie wyjdą za takie założenie! wrzasnął zaperzony ojciec.

— Więc cóż to tam było takiego, panie Jacenty, spytał Henryk Maroński. Ja w innych stronach mieszkam i jak żyję nigdy w Rydze nie byłem, powiedzcie mi co to tam jest takiego?

— O długo by o tem gadać dobrodzieju...

— Tymczasem choć coco powiedziecie, boć z obecnych nie jeden zapewne nie zna także Rygiwciale.

— Prosimy, prosimy! odezwali się wszyscy.

— Kiedy wola to tandem tedy, nakupiwszy lnu i od sąsiadów i na targach, pojechałem panie do Rygi, tarantami, które mi jeszcze szwagier był wraz znajtyczanką z Berdyczewa przysłał.

Pocciwy Pinchas, dawał mi na miejscu za berkowiec bez furmanek po czterdzieści pięć talarów obrączkowych, ale myślę sobie, lepiej więcej zarobić i wio panie w drogę... W Kurlandyi co prawda drogi dobre i karczmy wygodne, ale zdzierstwo panie! to niech ich jasności ogarną! Nawet za łóżko panie płac szelmom pięćdziesiąt groszy od nocy. Jadło dobre, ale miałem lepsze w króbee, własną ręką Piotrusi mojej przygotowane i spakowane; zatoż kawa, choć na psa lej: nie zabił śmietanką, to kwiatek na spodzie filiżanki zobaczysz. Wiadomo że tuż za rogatkami przedmieścia siedzi tam zgraja *huszpaserów* (*Aufpasser*).

— Co to jest *huszpaser*?

— Huszpaser to mosanie, obszarganiec wyszczekany. To panie faktor kupiecki, napadający na przybyłego, jak dyjabeł na dobrą duszę. Ten ci zaleca panie *nowe szczęście*, ten *gwiazdę*, ten *wilka* i t. d.

— A co to znaczy znowu u licha?..

— To przezwiska dla chłopów (*Bauersnahme*), którzy niemieckiego wyrazu nie pamiętają lub przekręcają.

Taki otoż *huszpaser* podsuwa ci karete, wiezie do swego mecenasa, który na cie już u schodów wyczekuje na dole. Ledwieś zdjął futro, podają ci jeść i pić czego dusza zapra-

gnie. Twoje konie już w stajni i ludzie za stołem.

Tymczasem i len już mosanie pod waźnicą, waży go, opisują, mażą, no i bierz pieniądze. Cheesz możesz być sam przy tem wszystkiem obecny, nie cheesz to poslej kogo na świadka. Potem len znowu ładują na te same furmanki i wiozą do kupca. Zrzucili, złożyli, konie do owsa, ludzi do stołu prowadzą, choćby ich stu było czy więcej. Tuż i muzyka z bębniem a piwa, miodu, wódki i mięsiva na dwa brzuchy wystarczyłoby każdemu. Niech bodaj trzy dni bawią to hulanka zawsze ta sama. Potem każdemu z furmanów jakiś jeszcze prezencik, to paczka tytoniu, to fajeczka drewniana w miedzianej oprawie z krótkim cybuskiem i t. p. Ekonomowi także jakiś upominek albo gotówką, albo piankową lulkę w srebro oprawną, albo zegarek lub futro, w miarę mniejszej czy większej wartości kupionego towaru.

Dla pana osobny pokój czysty, wygodny, a często świetny nawet. Wszystkim usługuje niemieczka, będąca i kucharką i garderobianą pani kupcowej i jej córek, a to za 50 talarów rocznie.

— Jakież stół? pewno słodkie wsz, skto?

— Ckliwy rzekłszy prawdę, ale jak szkło czysty. Przed obiadem dają śledzia albo coś słonego na zaostrenie apetytu, potem zupa cienkie bestyństwo niby ze szpitala; po zupie sztukamię, potem pieczone lub ciasto... Wieczorem do teatru lub na inną jaką publiczną zabawę. Teatr tamtejszy na zewnątrz budowla panie nie wielka ale wewnątrz dekoracje wcale dobre i równie dobra maszyneryja. Wybór sztuk jak się zdarzy, gra mierna, ale co najważniejsze bufet to doskonały. W czułych scenach publiczność męzka a starsza, poziewa, młodsza, wzdycha z kobietami robiącemi pończochę. Sceny komiczne, wyrażenia trywialne, wywołują huczne oklaski. Wracasz, masz zaraz smaczną wieszczę z butelkami rozlicznego kalibru; jedz, pij i popuszczaj pasa.

— I to wszystko za darmo?

— Niby darmo ale poczekaj! obrachują ci szelmy wszystko pod wagami.

— Kiedyż targ się odbywa?..

Przy pierwszym śniadaniu jakieś tylko przyjechał. Umowy są rozmaite. Albo godzisz się na brak kupiecki, to jest: umawia się o taką lub taką cenę za każdy berkowiec, bez względu czy będzie *pik korona*, *korona*, *brak*, *drejband* czy pakuły. Albo umawiasz się na brak właściciela lnu: wówczas oznacza się cena za każdy gatunek, a ilość tego lub owego gatunku, rozstrzyga przysięgły brakarz pod wagami. Trzeci sposób jest bez umowy. Jedzie się prosto pod waźnicę, gdy odważą i rozgatunkują, wówczas wolna wola: umawiaj się i sprzedaj jak i komu ci się podoba.

— Cóż to za kaduk ten brakarz?

— Brakarz to zwykle tłusty mosanie jegomości, w zapiętym pod szyję a po kostki długim piaskowym surducie, w okrągłym białym kapeluszu, najczęściej zbankrutowany kupiec, o miernej pensyjce, którą tak obraca iż murosie mosanie, jak jadło na kruszwickiej uczcie u Piasta. Niebawem taki brakarz zakłada też nowy handel, ale już nie z tym

co poprzednio towarem, bo tak prawo wymaga. Jak mu ochota przyjdzie znowu huncfot bankrutuje: klucze od sklepu zawiesza na giełdzie a wierzyciele idą do dyjaska z kwitkiem. Żona zaś kupuje na swoje imię dom lub zakłada jakiś magazyn, a mąż jest komisantem. Otóż taki jegomość stoi pod waźnicą z miną nadętą z naprzód wychyloną figurą; przed nim dębowa kłoda, błyszcząca jak szkło powierzchnia. Na tej kłodzie kładą len z wozów wałtuchami trzy razy przewiąsztem związany. Pan brakarz, ostrym jak brzytwa śpiczasto zagiętym nożem, rozcina dwa z rzędu przewiąsła, szturcha nożem wzdłuż wałtucha, rozruca go i wyrzekłszy nazwę gatunku odrzuca z kłody. Ciskają go zaraz na kupę innych, tego samego gatunku, waży i zapisują na tablicy ilość otrzymaną. Kto na swój brak sprzedaje, powinien rzucić zawsze parę białych za kłodę, dla pani brakarzowej na przedkę.

— Któryż z tych sposobów sprzedaży jest najlepszy, bodaj że chyba ostatni?

— Niech was wszyscy święci bronią od tej najlepszości! na niej właśnie orznięto mnie na 2,562 obrączkowych, jak jeden grosz mosterdzieju!

— Cóż, źle zważyli?

— Odważyli jako tako, ale puszczone len *korony hiszpańskiej* w brak i *drejband*.

— Należało go zabrać do domu.

— Gadaj zdrowa toć jest tam szwedzkie prawo zabraniające wywozu raz przywiezionego za bramy miasta towaru, wolno go tylko w najętym składzie złożyć. Najmijże lokal i czekaj na ceny które oznaczają ci, coby je radzi zniżyć do minimum...

— O to niech ich trzysta!...

— I ja tak samo im dziękowałem ale co to pomoże? Na pociechę, opowiedziano mi komiczne ale prawdziwe zdarzenie.

Pewien pan oto jedni mówią że Tyszkiewicz, inni że Giedrońc nawet, w ostatnich latach zeszłego stulecia, przywiózł ogromną lnu partycję, i... tak samo na niej wyszedł jak ja pod waźnicą. Chce wywieźć, niewolno; wiezie tandem na Dźwinę i wszystko het pali.

— A toć nauka mospanie, powiedział budowniczy.

— Co pomoże krukowi mydło albo umarłemu kadzidło?

— A jakże tam tego niedoważenia i brakowania uniknąć, odezwał się dziedzic ośmiu dymów, ale stu za to dzierżawca.

— Powiedziałbym jakby to zrobić, wtrącił młody jakiś akademik, tylko powiecie panowie że jako kurę uczy.

— Mów, mów dobrodzieju! zawyrokował do broduśnie podstolic. Już to czas taki że młodych język świerzbi. Znałem ja twego bodziada jeszcze. O! orator to był pierwszego rzędu, a po łacinie, jak rzepe gryzł. Ale mówże, bo milcząc zapomnisz języka w gębie.

— Kiedy Anglija ma swego komisanta w Rydze, Ryga swego w Londynie, my nie mamy żadnego nigdzie. Kiedy tam każdy czyta handlowej rolniczej gazety, my rolnicy z dziadad pradziada, umiemy wszystko bez nauki. Cóż za dziwota, że o bożym świecie nic nie wiedząc, jesteśmy na łasce miasteczkowych plotek i parafijalnej polityki. Wszyscy nazywamy kraj nasz rolniczym, a rolnictwa nie

ma. Chłop posieje, Pan Bóg poleje, wyrosło. Nim wyrosnie, wieczne biedowanie. Tymczasem niwy wyjałowione, łąki kępami zarosłe, bydło nędzne, lasy zniszczone, drogi i mosty doskonałe... do złamania karku. A tu jedni karnawałują po miastach, drudzy huczą i grają w karty na wsi. Pierwsi śmieją się z drugich, że nie umieją używać dostatków, drudzy z pierwszych, że trwonią fortunę na próżne blaski. Tak kociół garnkowi, przygania a oba się smolą; bo i ci i tamci żyją na kredyt, dążąc prostą drogą do bankructwa...

— Dobrze to wasze wydemonstrował, choć za gorąco bierzesz rzeczy, przemówił stary Żegota. *Fata adversa* rzuciły mnie po świecie, a zostawiwszy rękę pod *Piramidami*, miałem czas przypatrzeć się ludziom i ich życiu wzdłuż i wszerz Europy. Co wasze powiedział, redukuje się do tego, żeśmy niedbali, że żyjemy z dnia na dzień bezmyślnie. Prawda, ale wasze nie patrz przez okulary przedczesnych życzeń i chęci. Gdybyś był ojcem, ciągnąłbyś za uszy infanta że nazajutrz po urodzeniu wierszy nie deklamuje; a pojutrze, że nie dosiada rumaka, he? Nie na świecie nie stoi, co żyje iść musi i iść ciągle naprzód. Ale ten sam koń, z tym samym wozem inaczej idzie po bitej, inaczej po grzązkiej drodze. Wczytaj się wasze w to czegoś nie czytał, wsłuchaj się w to czegoś nie słyszał, wpatrz się w to co czas omroczył. Przedewszystkiem zaś naucz się alfabetu życia i czytaj to życie od deski do deski, nie nużąc się omyłkami i mazaniną skropisu. Wówczas, doczytasz się sensu i przy czyni czemu tutaj jest tak, czemu indziej inaczej; a wszędzie jest jak być powinno w logice dziejowego rozwoju. Spójrz w świat i naucz się poznać jego oblicze w takich chwilach, gdzie summa jego żywota w nim się odbija. Wówczas, pocieszony widokiem wiecznej kwitnącej prawdy, z jasnym pojęciem konieczności, pójdziesz spokojnie za pługiem, czując smak chleba co za rok pożywać będziesz ty, albo dzieci twoje. Z tego nie wypada, abyś nie uczył nieświadomych lub nie gromił próżniactwa, owszem, cześć nauce i pracy pocziwej, lecz zrządza i przesada, nuży zarówno mówcę jak słuchacza i nudząc niczego nie nauczy.

— Wszystko to bardzo pięknie, każdy z panów dobrodziejów Cycero jak Pana Boga kocham i kwita; ale co będzie z wyborami, odezwał się Melchijor.

— Oj prawda, prawda, trzeba się naradzić bo to nie bagatela...

— Kandydatów nie wielu a chętnych mniej jeszcze, wtrącił smutno pan Kacper.

— Zaprosimy pana Rogalę: bogaty to i porządny człowiek, a jak żyje! Już o nim można powiedzieć, że ani sobie ani drugim nie żałuje.

— Ba, to na nie się nie zdało. Rogala wydaje córkę za mąż i o niczem więcej na teraz nie myśli.

— A pan Okrasa: kapitalista, zręczny człowiek, z prawem się zna a plecy tegie ma za sobą.

— Nie nie można, zakonkludował podstolic, paskudziarz to mosanie, kutwa i nie więcej.

— To teraz tak się skróczył dopiero bo dzieci podrastają, a czasy ciężkie jak nigdy.

Mówił mi zresztą że na sejmiki nie przybędzie, powiedział pułkownik Wierzbęta. Zaprośmy tandem pana Norberta Kadłubka, toć homo panie i z pierza i z mięsa. Poczciwe gniazdo, z jego stryjem byłem pod Saragosą.

— Bardzo go szanuję, nie niemam przeciwko niemu, ale kto wie jak się to innym zdawać będzie. Filozof! mruknął podstolic.

— Cała go młodzież poprze, odrzekł ktoś z tłumu, a wszyscy młodzi huknęli: prosić, prosić, prosić!

— Nie z młodzieży samej powiat przecie złożony, przerwał podżyły prezes.

— A cóżmu kto zarzuci? Znaleźć się potrafi wszędzie, nosa nie zadzie-
ra przed nikim, dodał sędziwy choraży.

— On sam się na to nie zgodzi, bo ma huk bez tego wydatków, sam lubi puścić a i pani żona nie od tego.

— Prawda, mosanie, ma wydatki i wielkie, rzekł podkomorzy, Tarło, bo gdy kogo dotknie nieszczęście, on mu pierwszy z pomocą śpieszy. To już mosanie, obyczaj ich rodu. Znałem jego dziada, wojskiego oszmiańskiego, co żonaty był z kasztelanką chełmińską. Prowadził on proces przez lat dwadzieścia *de virtute et moribus*, z panem strukczaszym Wiłą. W tem strukczaszemu piorun pali dom, stajnię i oborę z dobytkiem. Dowiaduje się o nieszczęściu pan wojski, jedzie do strukczaszego, wiezie mu pokwitowanie z procesu i zaprasza z całą rodziną i daje jej folwark mosanie w dzierżawę za dziesiątą część wartości, a tymczasem odbudowywa pogorzelisko, napełnia oborę rasowem bydłem, stajnię końmi najlepszymi z własnego stada i na *prima aprilis*, wymyśla list od rządcy wzywający strukczaszego do jego majątku. Oto niedawno zgorzały dwa miasteczka, jedno o mil pięć, drugie stąd o mil ośm, wnet

pan Norbert posłał do każdego po kilkaset korcy zboża. Włóść u siebie przebudował, kiedy się o tem nikomu jeszcze nie śniło oczynszował i zaprowadził postępowe rolnictwo. Żony jego nie znam osobiście, lecz mosanie, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Babkę poznałem u pani Morawskiej w Nieświeżu, coto była panie za niewiasta ta panna starościanka wilkomierska! A jaka rozumna, to i panu Borowskiemu przed nią nieraz fantazyi zabrakło. A po mieczu co to za krew poczeiwa! chłop w chłop i do boju i do rady. Nieodrodziła się i pani Norbertowa: i w piśmie uczona, i jak anioł dobra, i gospodarna jak pszczołka. Sam znam dwóch

młodzieńców, co jej kosztem szkoły i akademiję skończyli; a dla siebie to na wstążeczkę żałuje choć młoda i ładna. Takiego mosanie marnotrawstwa życzę i dzieciom moim i sobie i wszystkim tu obecnym.

— Pan Kadłubek zarozumiały i dziwak, ona *bas bleu*, ozwał się przez zęby milczący dotąd żółty jak cytryna paniczyk, ze szkiełkiem w oku siedzący w drugim pokoju.

— A co to za cma we fraku, szepnął ktoś na ucho do pułkownika.

— Syn to uczciwego ojca, który go odumarl wcześniej, a mamunia stroiła firleje, edu-

szeze jak niedźwiedzie w łomie ssą łapy pod domowym piecem.

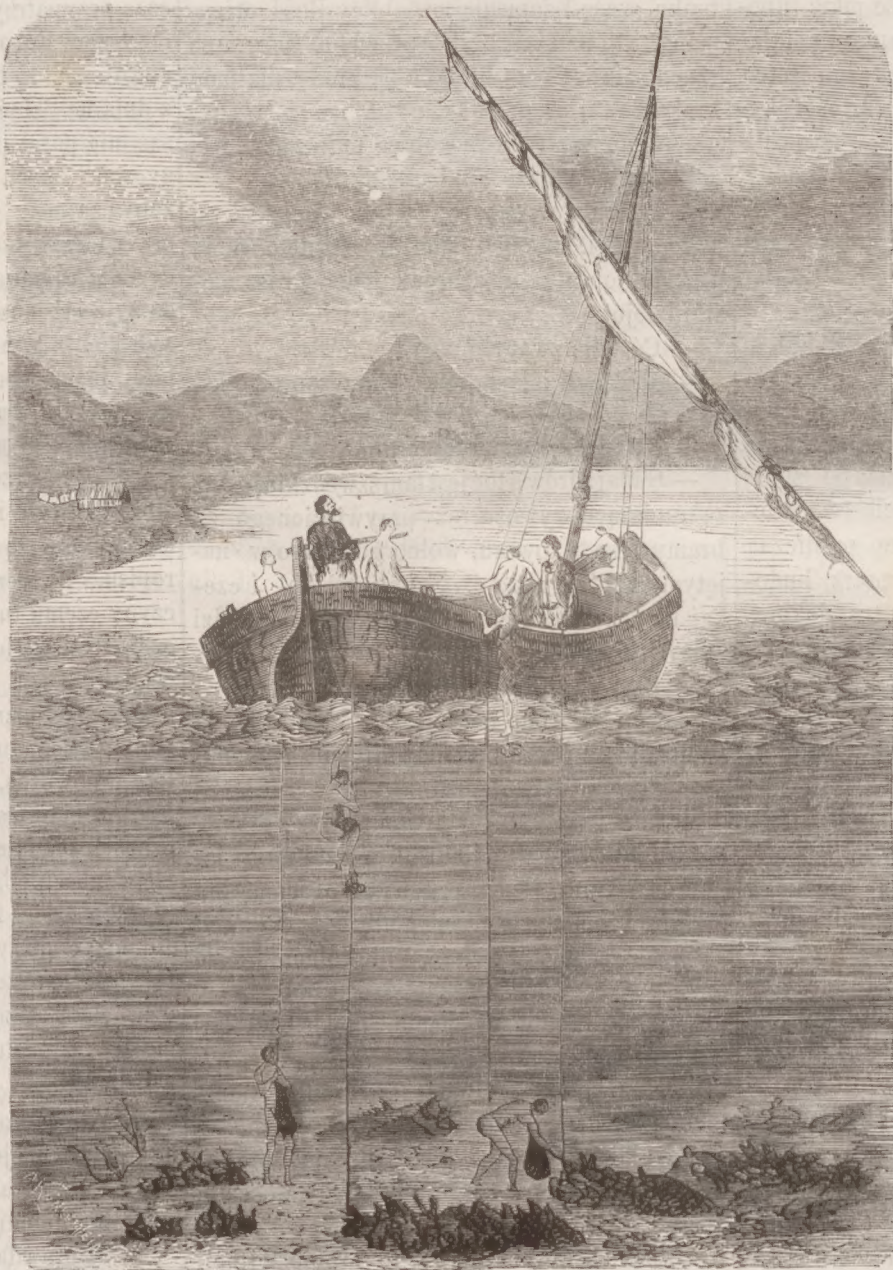
Wkrótce powiększyło się znów towarzystwo nowo przybyłymi gośćmi. Każdego z nich zaproszono na różne urzędy, ale każdy wykręcał się jak mógł od zaszczytów. Nareszcie podano projekt ofiarowania p. Bartłomiejowi Płazie marszałkowskiej łaski.

— Dobry człowiek odezwał się ktoś z przybyłych, bez fanaberyi i dostatni, żona zacna kobieta a córeczka na wydaniu, to pewno nie będą od tego...

— Że dobry to święta prawda, że ona jeszcze lepsza, temu nikt także nie zaprzeczy, że córeczki ładne ani słowa; ale i to prawda, że ich nie zobaczymy, zauważył ktoś z tłumu.

— A to czemu, zapytało kilka głosów.

— Bo jegomość dobrodziej jada obiadek w szufladce, więc u niego zawsze po obiedzie. Nie o to zresztą chodzi aby nas zapraszał, bo każdy mógłby mieć własną złotówkę w kieszeni. Ale trzeba utrzymać stosunki na świecie. Do tego zmarszczony zawsze i zgryźliwy, a cokolwiek tylko powiesz on to wnet do siebie stosuje. Bodaj to dawniej!.. poważnili się było że kordy były w robocie, ale potem uściskali się i po staremu kochali jak bracia. Dziś świat inny mocium panie. Pamiętam jak to mnie ongi rodzic mój świętej pamięci, wprost z połockiej akademii przywiózł na elekcye. Trafiamy na sesyję: do kresek staje godny obywatel pan Spinazzoli którego przodek jeszcze z królową Boną z Baru tutaj przybył. Popierał go ze swoimi p. Błażej Koraba, zacny, ale okrutnie szpetny a kochliwy człowiek. Liczą wota: żebyż jedna negatywa, tylko kartka w wazonie a na niej:



Łowienie perel na wyspie Cejlon.

kowała kanaczka po swojemu, a potem wysłała na wojaż, oto i sekret cały.

— Czy nie przyjechał pan Norbert, zapytał podstolic?..

— Nie ma go dotąd, odrzekł Melchijor, a sąsiedzi powiadają że nie będzie wcale, i rzeknie się gdyby go nawet zaocznie obrano; filozof i kwita...

— Niechajże sztraf zapłaci za to że filozof!

— Jabym tym filozofom wszystkim dał takiego fernepiksu, żeby mnie całe życie popamiętali. Przez nich to taka trudność w wyborze; oto już nie po dawnemu, nie po trzystu, ale po sześćdziesięciu wotuje, a je-

„Pewno każdy się zdziwi, kto porządek kocha:
„Niegdyś włoch wodził małpy! teraz małpa włocha.“

Co to było śmiechu, co wesołości! a pan Włoch i pani małpa śmieli się najwięcej i żadnemu z nich ani się zamarzyło o gniewie, bo wiedzieli że ich wszyscy kochają i że tego warci. Po obiorze hulka trwała cały tydzień i starczyło na wszystko, teraz mocium panie, inny świat. Wówczas mówiono, kiep kto nie ma stu dukatów w jednej i drugiej kieszeni, dzisiaj: „wążko, spięto; kuso, ścięto, a w kieszeni figa.“

— No a nie przydałby się syn pana Bar-

łomiej, pan Hijacynt? toć już urzędował i bywalec nie lada.

— Są tacy co cały świat objechali a w świecie nie byli. Ja sam mam mocim panie walizę co z moim ojcem, Panie świeć nad duszą jego, siedm lat przebyła w Rzymie, a po łacinie ani weź nie umie.

— Znam, znam pana Hijacynta, odezwał się ktoś z daleka podchodząc do mówiących. Spotkałem go w Warszawie na sobotnich pierogach u Rozengarta; nazajutrz zaprosił mnie do Marego na Krakowskie-przedmieście. Było nas dziesięciu zaproszonych a wystąpił co się zowie! przysmaki z czterech części świata! Znaj pana po cholewach, a jaki facetus, jaki szarmant! Toć możnaby materac ułożyć z tych włosów, co mu je tam różne białogłowy na pamiątkę ofiarowały. Po kilku latach widzę go u wód w Ems, tłusty, stary i po angielsku

stoi. Wracam więc a szwajcar pyta: — *Isz kur ponas?* (skąd pan?) *Isz Wilniaus*, odpowiedziałem z uśmiechem i dalej z nim w gawędkę. Był to rosły chłop z nad Willi, wzięty od bydła i okrutnie wytęskniony do chaty. Usłyszał widno p. Hijacynt naszą rozmowę, wysłał lokaja prosząc do siebie i dał audyencyję w gabinecie. Na przywitanie wysunął do uścisku dwa palce prawej ręki i wskazał na fotel. Bawiłem z godzinę, a że p. Hijacynt najwięcej francuskich używał frazesów rzekłem: szkoły dawnom ukończył, słownika nie mam ze sobą, bądź więc zdrów mościwy panie, i wyszedłem.

— Mości panowie proszę o głos, zawołał p. podstolic. Zaprosimy nadal poprzednika, niechaj nam nadal przewodniczy a oto właśnie idzie, itu może zajdzie.

ZARYSY

Gubernij północno i połudn.-zachodnich,

skreślił

JAN ZE ŚLIWINA.

(Ciąg dalszy,—patrz Nr 45).

XV.

Gubernija Mohilewska.

Gubernija Mohilewska, jest to gniazdo, kolebka starożytnych *Bialo-russów*, czyli *Białorusinów*, najstarożytniejszego szczepu słowiańskiego. Nazywano byłe województwa: Mińskie, Połockie, Mścisławskie, Witebskie i Smoleńskie, dziś zaś za Białorusią miannją tylko gubernije Mohilewską i Witebską. Pod względem etnograficznym jak pierwszy, tak i drugi po-



Sarny w lesie. Rysunek K. Bodmera.

sku tylko gadający. W kursalu spotyka się z dawnym kolegą szkół krońskich, Wincentym Rębajłą: po przywitaniu, pali do niego po angielsku; Rębajło, choć był lat kilka profesorem w Manszesterze, udaje że nie rozumie, nareszcie odpowiada mu po łacinie i po grecku. Zdetonował się p. Hijacynt, przemówił po swojemu i wtedy dopiero uściśnęli się starym obyczajem i na wzajemne: *kochajmy się!* wypili po butelce Schlos-Johanisbergu.

— Ja go znałem w paroksyzmie francuszczyzny, powiedział sędzia Starodubowski. Kiedy urząd piastował miałem do niego interes, idę a tu wygalonowany szwajcar buławą drzwi zasłania; odchodzę więc, myśląc że tu komedyjantysztuki pokazuje. Pytam żydka o mieszkanię p. Hijacynta. — Ny to tutaj, rzekł kłaniając się, tutaj gdzie ten w złocie dragal

— Zgoda! wrzasnęło kilkanaście głosów. Pocziwy to starowina, zgoda i niech żyje.

Podstolic wyszedł na ulicę i wprowadził p. Juliusza Ostoję a tłum go obsiadł i zapraszał do laski. Wymawiał się jak mógł Ostoja, ale gdy mu powiedziano że obywatelska posługa tego wymaga, że trzeba się komukolwiek poświęcić, starzec rozrzuwniony rzekł: Wola wasza, więc zgoda, ale darujcie że nie mogę tak jak pragnę odpowiedzieć wezwaniu waszemu.

— Tymżesamym trybem, dodał na zakończenie p. Maciej Norwina krewny podkomorzyniej, szły wybory na inne urzędy. c. d. n.

działnie jest uzasadniony, bo Białorusini znajdują się w Wileńskiej gubernii, a nadto, jak wykazaliśmy wyżej i w kilku innych. Łotysze zaś infantscy w gub. Witebskiej wcale a wcale do Białorusinów zaliczani być nie mogą.

Skąd pochodzi nazwa Białej Rusi, ostatecznie nie rozstrzygnięto. Najpowszechniejsze mniemanie, że przezwano ich tak od białych żupanów i białych wojłokowych kołpaków (na kształt głowy cukru), jakich i do dziś dnia używają w gubernii Mohilewskiej.

Najbardziej zbliżony do pierwotnego, najczystszy język białoruski, przechował się w gubernii Mohilewskiej, nie prawie nie uległszy spolszczeniu, jak w okolicach Nowogródka i Wilna. Starożytne piosenki białoruskie, do dziś dnia śpiewane w tej stronie, świadczą o dawności tego języka i wielkiem pokrewieństwie jego z Pieśnią o półku Igora. Jest to ten sam język,

którego używano przy dworze książąt litewskich, na który Skoryna przełożył Pismo Święte, ¹⁾ w którym był ogłoszony Statut litewski, oraz inne prawa, statuta, przywileje, nadania i t. d. od najdawniejszych czasów prawie do połowy wieku XVII. ²⁾ W odległych wiekach, jak nam podają najdawniejsi kronikarze, w dzisiejszej gubernii Mohilewskiej mieszkali Słowianie: na wybrzeżach *Soży Radymicze*, a na wybrzeżach *Dniepru, Krywiczanie*. W VIII stuleciu panowali nad nimi Chazarowie, w r. 885 pokonani przez Olega. Po śmierci Włodzimierza Wielkiego, znaczna część dzisiejszej gubernii Mohilewskiej należała do księstwa Połockiego, a nadto potworzyły się tu odrębne księstwa udzielne, jak Mścisławskie, Łukomskie i Druckie. Częściowo nakoniec należały ziemie do księstw Smoleńskiego, Czernihowskiego i Siewierskiego.

O zaludnieniu tej krainy w epokach pierwotnych świadczą grodziska, zameczyska i kuryhanie, szczególnie nad brzegami Dniepru, Soży, Wiechry i t. d.

W czasach historycznych od wieku XI znane już są tu starożytne osady i grody jak *Czeczersk, Rasnia, Obolsk* później *Rsza* w końcu *Orsza, Mścisław, Kryczew* i inne.

Wszystkie te ziemie w wieku XIV przeszły pod panowanie Litwy, chociaż udzielną książęta, szczególnie na Mścisławiu, długo jeszcze siedzieli na swych księstwach.

Religia chrześcijańska wprowadzoną tu została w wieku X za Włodzimierza W. greckiego obrządku. W wielu miastach są bardzo starożytne świątynie. Nawet w wieku XV książęta

litewscy i królowie polscy wznosili tu cerkwie prawosławne. Tak Kazimierz Jagiellończyk w r. 1447, na pamiątkę szczęśliwego uratowania małżonki swojej Heleny od utonięcia w dzień ś-go Elijasza, fundował sześć cerkwi, które przetrwały do dziś dnia, chociaż nie w pierwotnej budowie, a mianowicie: w *Orszy, Krzyczewie, Czerykowie, Mohilewie, Bieszenkowicach i Witebsku*. Unia kościołów i tu jak w Połockiem spotykała przy wprowadzeniu wiele trudności. Kościoły katolickie zaczęły się tu wznosić w wieku XVII, od czasu kiedy w *Orszy* założono kolegium jezuickie, a w *Obolcach* mianowano archidjakona dla całej Białej Rusi, i cały kraj przyłączono do dyjecezyi wileńskiej. Dla tego to, takim archidjakonem mógł być tylko kanonik wileński, a później z rozkazu papieża jeden z biskupów sufraganów dyjecezyi wileńskiej. Lew Sapieha ufundował na Białej Rusi przeszło 60 kościołów. Inni magnaci starali się go naśladować. Wszakże nie zważając na taką troskliwość w sprawach religijnych obu wyznań, tradycje i obrzędy z czasów pogańskich przetrwały tu aż do dni naszych i pod względem etnologicznym jest to bodaj najobfitsza skarbnica ze wszystkich ziem słowiańskich.

Za dawnych czasów gubernia Mohilewska była podzielona pomiędzy województwa: Mścisławskie, Połockie, Mińskie i Witebskie. Mścisławskie województwo utworzono około r. 1590. Do niego należała większa część gubernii: *Mścisław, Mohilew, Krzyczew, Klimowicze, Czasy, Bychów, Czeryków, Andruszów*. Do Mińskiego należały: *Rohaczew, Homel, Própajsk, Czeczersk* i t. d. Powiat Orszański z *Kopysiem, Szklowem, Białyniczami, Hory-Horkami, Sokolnią, Druckiem, Łukomlą, i Toloczynem*, należał do województwa Smoleńskiego, a po odpadnięciu Smoleńska, nosił nazwisko ziemi Orszańskiej, która z powiatem Witebskim tworzyła województwo Witebskie.

Po pierwszym podziale Polski z województw Połockiego, Mścisławskiego i Witebskiego w r. 1772, utworzone zostały dwa namiestnictwa: Połockie i Mohilewskie. To ostatnie dzieliło się na powiaty: Orszański, Rohaczewski, Mścisławski i Mohilewski. W roku 1776 namiestnictwo otrzymało nową organizację na zasadzie ogólnej ustawy dla gubernij rosyjskich. W roku 1778 otwarte były urzędy i izby sądowe. Pierwszym namiestnikiem był generał Zacharyjasz Czernyszew. Cesarz Paweł I w roku 1797, z namiestnictw Połockiego i Mohilewskiego rozkazał utworzyć jedną gubernię *Białoruską*, ze stolicą w Witebsku.

W roku 1801 cesarz Aleksander I, rozkazał przywrócić gubernię Mohilewską, podzieloną na 11 powiatów: *Mohilewski, Siennieński, Orszański, Horecki, Mścisławski, Czarusowski, Czerykowski, Klimowicki, Staro-Bychowski, Rohaczewski i Homelski*. Z tych powiat Horecki utworzony został w r. 1861 z byłego powiatu Kopyskiego. Był jeszcze powiat Babinowiecki, który w r. 1840, wcielono do Orszańskiego.

W roku 1831, uchylono moc obowiązującą Statutu litewskiego, a natomiast wprowadzone zostały ogólne prawa, jak sądowe tak administracyjne innym gubernijom w Rosyi przysługujące.

Granice gubernii stanowią: na północ gub.

Witebska; na wschód Smoleńska i Czernihowska; na południe Czernihowska i na zachód Mińska.

Powierzchnia gubernii obejmuje 5,821 mil kwadr., czyli 40,747 wiorst kwadr. Podług de Liwrona (1874 r.) cała przestrzeń wynosi 4,377,000 dziesięcin, z tych 2,000,000 dziesięcin ziemi uprawnej, 337,000 łak, 1,184,000 lasów i 856,000 ziemi nieuprawnej, a także zalanej wodą, zajętej bagnami, drogami i t. d. A zatem na 100 dziesięcin ogólnej przestrzeni wypada 45,7 uprawnej, 7,7 łak, 27,0 lasów i 19,6 nieużytków. Łak w stosunku do ziemi uprawnej wypada 16,8.

Gubernia ta należy do krajów leśnych i bagnistych. Północna część gubernii, t.j. powiaty Siennieński, Orszański, Mohilewski, Horecki i Mścisławski, jest wznioślejsza i falowata; główna pochyłość ku południowi; południowa zaś część, czyli powiaty: Homelski, Rohaczewski i po części Bychowski ma powierzchnię równą i lesistą. Wzniosłości te stanowią część południowo-zachodniej gałęzi płaskiego pasma gór Alańskich, dzielącego basseny wód płynących do morza Bałtyckiego, od wód wpadających do morza Czarnego. Powierzchnia tych wyniosłości prawie wszędzie piaszczysta. Najwznioślejsze miejsca mają do 800 stóp nad powierzchnię morza. Północno-zachodnia część gubernii pokryta lasami, bagnami, ze znaczną przestrzenią ziemi nieuprawnej, dzikszą jest od południowej części.

Mineralne bogactwa kraju mało zbadane. Wiadomo tylko, że w powiatach: Mohilewskim, Bychowskim, Rohaczewskim i Czerykowskim znajdują w niewielkiej ilości rudę żelazną; w Siennieńskim i Orszańskim kamień wapienny. Głina tu obfita i dobra, ceglana, garncarska i porcelanowa, najwięcej w powiecie Horeckim. Natrafiają także na ziemię czerwoną, której używają do olejnego malowania dachów. W Mohilewie i w niektórych miejscach nadnieprzańskich są studnie wody słonej. Nad brzegami Soży i w innych miejscach znajdują niemało ciekawych skamieniałości roślin i zwierząt przedpotopowych. Podług badań Helmersena (1863) od Lepla w Witebskiej gubernii do Kopysia w Horeckim powiecie i dalej na północ przez Hory-Horki, Mścisław, wkraczając do guber. Smoleńskiej idzie formacja Dewońska. Zachodnia zaś i południowa część gubernii do rzeki Soży, jest formacji trzeciorzędnej. Po nad Sożą są pokłady kredowe.

W lasach rosną: dąb, lipa, klon, wiąz, olsza, leszczyna, sosna i jodła. Spotykają się gdzieś niedzie grab, brzoza, jarzębina, czeremcha, kasztan, topole i dość obficie wierzba. Olsza wyróżnia się w tych stronach; jest nadzwyczaj wysoką i prostą z kędzierzawym wierzchołkiem.

Ziemia najmniej jest tu urodzajna ze wszystkich litewskich gubernij. Grunt składa się najwięcej z gliny i piasku. Czarnoziemu bardzo mało. Żyto, owies i jęczmień rodzą się obficie, chociaż nie wszędzie; pszenica, groch, len zasiewane są w niewielkiej ilości. W ogrodach rosną i dojrzewają kawony i melony.

Co do urodzajów mamy z roku 1871 następujące dane: Wysiew zboż ozimych 374,000 czetwerti, jarych zbóż 529,000; kartofli 364,000. Zebrano: zbóż ozimych czetwerti 826,000, ja-

¹⁾ Wiadomo, że pierwszy druk, Biblia Guttenbergowska wyszła w r. 1455. Rokiem zaś 1475 datuje się pierwszy druk mowy polskiej. Była to modlitwa Pańska, Ojciec nasz, Skład Apostolski wydrukowany w Statuta synodalia, w Norymberdze. Przez całe jednak 50 lat od wynalazku druku, nie mieliśmy prócz jednej modlitwy wcielonej w tekst łaciński, żadnej polskiej książki, gdyż jak wiadomo, pierwszy druk polski zjawił się zaledwo w r. 1505. Przeciwnie słowiańskie druki pokazały się we 28 lat od wynalezienia druku, w Wenecyi, a kiedy w Krakowie jeszcze nie było stałej polskiej drukarni, widzimy już druk białoruski, w dopisach, przedmowach i tytułach do tekstu słowiańskiego, w r. 1491, to jest we 36 lat po wynalezieniu druku. A więc i pierwsza stała drukarnia białoruska w Krakowie datuje się od tegoż roku. Podaliśmy datę wyjścia pierwszej białoruskiej książki w r. 1491, ale Estreicher domyśla się, że jeszcze w r. 1483 wyszedł w Krakowie *Triod cwietańaja*, czego też dowodził Zacharyjasz Kopysteński w *Palinodii*, r. 1621. Założycielem tej pierwszej drukarni białoruskiej w Krakowie był Świętopelk Fiol, Polak (a nie Niemiec jak mylnie sądzili: Bandtkie, Strojew, Sopikow i inni), mieszczanin krakowski, którego rodzina przed stu laty przesiedliła się z Niemiec do Krakowa. (Ob. moje: *Odczyty o literaturze narodów słowiańskich*, 1874, str. 25). Białorusini wyprzedzili Polaków pod względem ogłoszenia drukiem *Biblii*, o lat 44, a nawet w ogóle w liczbie słowiańskich *Biblii*, białoruska zajmuje drugie miejsce, gdy bowiem pierwsza Biblia u ludów słowiańskich wyszła u Czechów w r. 1488, drugą była białoruska, w r. 1517, trzecia kraińska w roku 1555, a dopiero czwarta, polska 1561. Jest to przekład słynnego Franciszka Skoryny z Połocka, którego pierwsze księgi wyszły w Pradze w roku 1517, a cały druk skończony w Wilnie u Mamoniczów w roku 1525.

²⁾ W nowszych czasach znani są jako poeci piszący w czystym języku białoruskim Wincenty Dunin Marciniewicz i Artemiusz Darewski Weryha. Syrokomla dobrze znał język białoruski a za duszę porywającą jego piosenki znane są wśród ludu, szczególnie w okolicach nowogrodzkich.

W nader ciekawym dyplomatarjuszu miasta Wilna, ogłoszonym przez Dubińskiego, burmistrza wileńskiego w r. 1788, zawierającym przywileje tego grodu, widzimy od r. 1387—1661, 45 ustaw pisanych po białorusku, a mianowicie: od r. 1387—1440, trzy; wielkiego ks. Kazimierza, dwa; Aleksandra, trzy; Zygmunta Starogo, osmaście; Zygmunta Augusta trzynastie; Stefana Batorego, dwa; Zygmunta III sześć; Jana Kazimierza, jeden. Ostatni dokument w tym języku z roku 1661.

rych 1,835,000, kartofli 1,638,000. W łaki szczególnie obfitują doliny rzeki *Soży, Wiechry, Proni, Basi, Resty i Druca* (choć nie wszędzie) i głównie Dniepru, a nadto wybrzeża jezior w powiecie Siennieńskim. Siana zbiera się rocznie przeszło 13,000,000 pudów.

Handel i przemysł na niskim stopniu pod względem fabrycznym, znaczny jest z powodu handlu na wielką skalę drzewa budowlanego, węgla, dziegciu, smoły, potażu, a nadto lnu, konopi i wódki. Nad Dnieprem i Sożą budują statki rzeczne, jako to: bajdaki, barki i berlinki i na nich przewożą wspomniane wyroby do południowych gubernij. Nadto Dźwiną spławiają do Rygi drzewo budowlane, len, potaż i konopie. Takich statków rocznie odpływa z gubernii przeszło tysiąc, oprócz tratw około 500. Wartość wywozowego towaru, wraz ze statkami, które najczęściej sprzedają na drzewo wynosi blisko do 2 milionów rubli.

Fabryk i zakładów rękodzielniczych w roku 1871 było 388, w nich pracujących 1,451; wartość wyrobów wynosiła 1,012,230 rubli. Oprócz tego gorzelni było 84, dały one 281,916 wiader okowity. Miodowni było 4, piwowarni 25, zakładów wyrobów z spirytusu 9.

W roku 1871 w gubernii Mohilewskiej było 275,000 koni; 333,000 bydła rogatego; 320,000 owiec i 252,000 świń. Wypada zatem na 100 mieszkańców: koni 29,8; bydła 35,3; owiec 36,0 i świń 24,2.

We wszystkich 11-tu powiatach, ucząstków czyli stanów policyjnych liczą 36; zarządów włościańskich 39. Miast jest w ogóle 93, gmin 204, miejskich i wiejskich osad 6,338.

Właścicieli ziemskich było 8,521, w posiadaniu których pozostaje 216,147,9 dziesięcin ziemi. Z liczby tych mniejszych właścicieli, posiadających od 1 do 100 dziesięcin gruntu jest 6,867, a liczba posiadanej przez nich ziemi wynosi 130,967; następnie posiadających od 100 do 500 dziesięcin 823, którzy mają ziemi 192,116; większych właścicieli, którzy mają od 500 do 1,000 dziesięcin 301, a ilość ziemi do nich należąca 210,670; na koniec takich, którzy posiadają więcej jak 1,000 dziesięcin 530, a liczba ziemi w ich posiadaniu 162,772,6 dziesięcin wynosi.

Ludność gubernii w r. 1872 wynosiła: 476,295 głów płci męskiej i 484,552 płci niewieściej, razem 960,847. Od roku 1867 ludność zwiększyła się o 51,899 głów. A zatem na jedną kwadratową milę wypada 1049, a na jedną kwadratową wiorstę 22,5 głów. Na 100 mężczyzn wypada 103,1 kobiet.

W r. 1870 liczono: szlachty 18,761; duchowieństwa 7,557; miejskiej ludności 162,697; wiejskiej 720,550; wojskowych 37,743; cudzoziemców 318. Stąd wynika, że szlachty jest 2%, duchowieństwa 0,7, mieszkańców miast 10,7, mieszkańców wsi 76,1, wojskowych 3,6, cudzoziemców 0,3.

Podług wyznań w r. 1872 liczono: prawosławnych 779,580; starowierców 14,700; katolików 33,277, protestantów 1338, żydów 118,727, mahometanów 3. A zatem prawosławnych 79%; katolików 3,8; starowierców 1,6; żydów 16,3.

Podług szczepów (stosownie do urzędowych źródeł): Białorusinów 759,845; Wielkorusyjan 16,700; Polaków 26,115 i żydów 118,727. Podług de Liwrona zaś na 100 mie-

szkańców wypada: Białorusinów i wielkorusyjan 83,6; polaków 2,8; żydów 13,3.

Są tu jeszcze Cyganie, których liczba nie wiadoma. Zaliczeni oni są do gmin włościańskich, chociaż prowadzą życie wędrowne, stałych osad wcale nie mają. Zimą nocują w stodółach wiejskich, a w lecie w namiotach. Przed laty, ś. p. Gaudenty Hołyński usiłował koniecznie zrobić z nich stałych osadników i dla tego własnym kosztem wybudował dla nich wygodne domy. Zimą przemieszkali, a na wiosnę domy zostały pustkowiem.

Ruch ludności w gubernii przedstawia następujące przecięciowe dane (podług wyliczeń od r. 1859—1863), liczba rodzących się, płci męskiej 22,592; płci niewieściej 21,013; razem 43,605. Liczba umarłych: płci męskiej 14,393; płci niewieściej 14,071, razem 28,464. A zatem zwiększenie ludności stanowi 15,141. Ślubów małżeńskich było 9,234. Wypada zatem, że na 100 mieszkańców rodzi się 4,75, umiera 3,12, ślubów małżeńskich 1,00. Na 100 mieszkańców przybywa ludności: w miastach 0,33, we wsiach 1,78, w gubernii 1,65.

Gubernia Mohilewska nadzwyczaj jest bogatą w zbiorowiska wody. Ogólna liczba rzek, rzeczek i strumyków wynosi z górą 1000. Rzeki tejsze należą do dwóch głównych basenów: Dnieprowskiego i Dźwiny zachodniej. Ostatnia tylko z północnej strony ma kilka przytoków, przeciwnie Dniepr ma w tej gubernii 249 przytoków (z tych większych rzek 97), a Soż, główny przytok Dnieprowy, 333 (z tych większych 88).

Wspaniały Dniepr wypływa w gubernii Smoleńskiej w powiecie Bielskim, z błot w lasach Wołkowyskich i niewielkiego jeziora Mszara należącego do wsi Zabołocie, przebiega 9 gubernij, na przestrzeni 1700 wiorst i wpada do morza Czarnego. Bassen tej wielkiej rzeki zajmuje powierzchnię 11,500 mil geograficznych, zaludnionych przez 12 milionów mieszkańców. W gubernii Mohilewskiej Dniepr przebiega 4,10 wiorst. Głębokość jego wynosi do 20 sążni, a szerokość dochodzi do 160 sążni, ale w czasie wylewów wiosennych, w niektórych miejscach zalewa przestrzeń na wiorst kilka. Dniepr zwykle zamraża w końcu listopada i trzyma się tak do końca marca.

Przytoki Dniepru: *Soż*, także jedna z większych rzek, przebiega bowiem w tej gubernii 300 wiorst a szerokość jej w niektórych miejscach dochodzi do 70 sążni. *Druca*, przebiega 260 wiorst. Berezyna przebiega tu tylko dwie mile. Z przytoków *Soży* zasługują na uwagę *Biesied* przebiegająca 115 wiorst, *Iput*, *Pronia* i w. i.

Dźwina Zachodnia płynie w gubernii tylko na przestrzeni 27 wiorst. Z przytoków jej ważniejsze są: *Łucessa*, *Czernica*, *Suchodol*, *Obol*.

Jeziora w znacznej liczbie znajdują się w dolinach Dniepru i Soży.

Pod względem zarządu duchownego prawosławni mają tu własną dyecezyją. Biskupi tytułują się: Mohilewski i Mściśławski. W r. 1872 było: soborów (cerkwi katedralnych 5, cerkwi 750, parafij 521, klasztorów męskich 8, niewieściech 4, mnichów 102, zakonnic 170, duchownych świeckich 519, do posług cerkiewnych (pryczołników) 728.

Główny zarząd archidiecezyji rzymsko-katolickiej Mohilewskiej jest w Petersburgu, gdzie rezyduje arcybiskup-metropolita, jego sufragani, kapituła, którą składają 5 prałatów i 6 kanoników. Tamże konsystorz i seminarjum. Gubernia podzielona na dekanaty: Mohilewski, Mohilewsko-Horecki, Rogaczewo-Bychowski, Homelski, Czerykowo-Czausowski, Klimowicko-Mściśławski, Orszański i Siennieński.

Gubernię Mohilewską przeryniają dwie koleje żelazne: Moskiewsko-Brzeska i Landwarowo-Romeńska.

Drogi szosowe: idąca z Moskwy do Warszawy, w gubernii Mohilewskiej przez Bóbr, Kochanowo, Orszę i Lady i z Petersburga przez Witebsk do Kijowa, przechodzi w Mohilewskiej gub. przez Babinowicze, Orszę, Mohilew, Propojsk, Czeczersk, Homel, Stary Bychów i Rochaczew. d. c. n.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XV.

Co i jak powinniśmy jeść?

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Co powinniśmy jeść? jest to pytanie żywotne, obok którego postawić wypada drugie, nie mniej ważne: *jak powinniśmy jeść?* Ażeby pytania te rozstrzygnąć w sposób zadawalniający i dla każdego pojętny, powiemy wprzód kilka słów o budowie ustroju ludzkiego, o jego odżywianiu oraz o trawieniu.

Z budową ciała naszego, dzieje się toż samo, co z budową domu. Wiadomo, że dla wzniesienia tego ostatniego potrzebne są rozmaite materyjały, np. drzewo, żelazo, glina, szkło i t. d. Lecz wszystkie te materyjały muszą być poprzednio przerobione w pewien sposób, stosownie do swego przeznaczenia, np. drzewo na deski i belki, żelazo na blachę, gwoździe i t. d., gdyż wtedy dopiero stają się one zdolnymi do budowy murów i pokojów z drzwiami, oknami, piecami, zamkami. W skład ustroju ludzkiego wchodzi także mnóstwo różnych materyj, jak np. woda, materyje białkowe, tłuszcze, sole, wapno, żelazo i t. d. Wszystkie jednak te materyje muszą być poprzednio wewnątrz samego ustroju przerobione na najdrobniejsze cząsteczki, mianowicie: na pęcherzyki (komórki), włókienka, cewki, błony i t. d., albowiem w takiej tylko postaci mogą one służyć do utworzenia większych przyrządów i narzędzi, jak: kości, chrząstek, mięśni, nerwów i t. p.

Materyjały, potrzebne do budowy domu znane są każdemu i łatwo dadzą się odróżnić; tymczasem materyje, z których składa się nasze ciało, mogły być odkryte jedynie przez chemików, i rzeczywiście są im znane. Główną częścią składową, nie tylko ustroju ludzkiego i zwierzęcego, lecz także i roślin, jest woda (stanowiąca prawie $\frac{3}{4}$ całego ustroju). Znajduje się ona we wszystkich częściach naszego ciała: nie wyłączając i najtwardszych. Po niej, najważniejszemi dla ustroju są *materyje białkowe*, stanowiące zasadniczą część wszystkich tkanek w naszym ciele, w skutek

czego zowią się one także tworami tkankowymi; od nich to głównie zależy nasza siła. Wliczbie materij białkowatych, wchodzących w skład ustroju ludzkiego, do ważniejszych należą: *białko, włóknik, sernik i klej*. W dużej także ilości i w rozmaitej postaci, znajdują się w naszym ustroju, *tłuszcze* (olein, stearyn, margaryn i t. d.); bez nich istnienie ustroju byłoby niemożliwym. Z pomiędzy soli, do najkonieczniejszych należą: *sól kuchenna i sole potażowe*. Wielkie znaczenie mają również: *wapno, żelazo, siarka, fosfor*, oraz wiele jeszcze innych materij, po większej części połączonych z białkowatymi, wchodzących w skład ustroju i służących do jego odżywiania.

Każdy budynek, jak wiadomo, ulega przez czas i użycie uszkodzeniu do pewnego stopnia, a zatem dla utrzymania w dobrym stanie, wymaga ciągłej naprawy. Rozumie się jednak samo przez się, że uszkodzone części mogą być doprowadzone do poprzedniej postaci, tylko za pomocą tego materiału, z którego są zrobione, np. dla naprawienia okna niezbędnym jest szkło, dla naprawienia muru cegła, dla zamku żelazo i t. d. Toż samo da się powiedzieć i o naszym ustroju. *Dopóki żyjemy, wszystkie jego części ulegają bezustannemu zużyciu*, ażeby więc ustrój nie obumierał, lecz pozostał zdrowym, okazuje się konieczna ciągła odnowa wszystkich zużytych jego części, za pomocą tych materij, które pierwiastko wchodziły w skład każdej części; a mianowicie: mięśni, za pomocą materij białkowatych; kości, za pomocą kleju i wapna; nerwów, za pomocą białka i tłuszczu, i t. d.

Ciągłe zużycie (obumieranie), wszystkich części naszego ustroju i zastępowanie ich nowymi (odnowa), zowie się *przemianą materij*. Dopóki trwa owa przemiana, dotąd *żyjemy*; skoro ustanie, *umieramy*; gdy zaś odbywa się nieprawidłowo, wówczas *chorujemy*. Utrzymanie zatem w porządku przemiany materij, powinno być głównym zadaniem dla każdego człowieka, pragnącego żyć i być zdrowym.

Materije, wchodzące w skład ustroju, to jest: woda, materije białkowe, tłuszcze, sole, wapno, żelazo, siarka i fosfor, nie powstają same przez się wewnątrz ustroju, lecz *muszą być doń doprowadzone z zewnątrz*, i to koniecznie w odpowiedniej ilości oraz dobroci. Cel ten zostaje osiągniętym przez użycie pokarmu, potraw i napojów. Narzędzia trawienia, przy pomocy różnych soków (śliny, soku żołądkowego i trzustkowego żółci), przetwarzają w taki sposób przyjęty pokarm, że najlepsze jego części składowe przechodzą w krew i służą do utworzenia tkanek.

Każdy budynek, wtedy tylko zdatnym jest do zamieszkania, jeśli temperatura w jego pokojach jest dość ciepła; dla tego też opalamy te ostatnie, podczas zimnej pory roku. Wewnątrz ustroju, ażeby przemiana materij mogła odbywać się prawidłowo, okazuje się również niezbędnym pewien stopień ciepła (+ 30° R.). Dla podtrzymania tego ciepła, opalamy także ustrój, chociaż nie za pomocą zwykłego, używanego do pieców paliwa (drzewa, węgla kamiennego i t. p.), lecz zawsze mimo to, za pomocą materij, podobnych doń składem chemicznym. Do takich materij należą: *tłuszcze, krochmale, cukier i wyskok*; znajdują się one

w przyjmowanym przez nas pokarmie i po części służą oraz do odżywiania. Niektóre z owych materij, jak krochmal i cukier, zamieniają się wewnątrz ustroju w tłuszcz, i dla tego zowią je *tłuszcz tworzącymi*.

Z powyższego wynika, że dla zachowania naszego życia i zdrowia, powinniśmy koniecznie umieć wybierać odpowiedni pokarm, co wymaga znów, ażebyśmy wiedzieli, jaki pokarm zawiera niezbędne dla naszego ustroju materije i w jakiej mianowicie ilości. Im pokarm bogatszy jest w takie materije, tem bywa pożywniejszy. Tylko *mleko i jajka* zawierają wszystkie pożywne materije w należytej ilości; człowiek więc mógłby żyć, karmiąc się wyłącznie mlekiem lub jajkami. Każdy zaś inny pokarm zawiera albo nie wszystkie takie materije, albo ilość ich bywa niedostateczną. Koniecznie więc powinniśmy używać pokarm rozmaity i mieszać go (w potrawach) tak, żeby do krwi były doprowadzone w należytej ilości wszystkie materije, niezbędne do odnowy obumierających części naszego ustroju. Nigdy nie trzeba używać za pokarm, wyłącznie samych materij białkowatych lub samych tłuszczów, lecz przeciwnie, należy wybierać taki pokarm, któryby zawierał dostateczną ilość białka, tłuszczów i materij tłuszcz tworzących; stąd, ważną jest rzeczą łączyć razem pokarm zwierzęcy i roślinny, gdyż pierwszy zawiera zbyt mało tłuszczów i materij tłuszcz tworzących, a drugiemu zbywa na materijach białkowatych. Używając wyłącznie samo mięso bez tłuszczu, ser lub białko jajka, narazilibyśmy się na powolną śmierć głodową, podobnie, jak gdybyśmy spożywali same tłuszcze, masło lub żółtko. Pokarm roślinny wtedy tylko staje się zdatnym do użycia, jeśli zawiera w dostatecznej ilości wyżej wzmiankowane materije pożywne t. j. białkowe oraz tłuszcz tworzące (krochmal, cukier). Kartofle, składające się prawie wyłącznie z samej mączki (krochmalu), są zupełnie niezdatne do odżywiania, zwłaszcza gdy mają stanowić główny pokarm. Zarówno, każdy inny mączny pokarm, a szczególnie chleb, wtedy tylko okazuje się pożywny i pożyteczny, skoro prócz krochmalu zawiera nadto klej (t. j. materiję białkową, podobną do żółtka jajka, która znajduje się w nasionach zbóż, tuż pod osłonką). Chleb, przygotowany z mąki nieoczyszczonej z otręb, powinien być pożywniejszy od chleba bez otręb, w których to ostatnich pozostaje dużo kleju. Jednakże otręby czynią chleb mniej strawnym, i dla tego nie można zalecać użycia podobnego chleba osobom ze słabem, rozstrojonym trawieniem.

Wiedząc już, co powinniśmy jeść, zastanówmy się teraz nad niemniej ważnym pytaniem, *jak mamy jeść?* Ludzie, szczególnie biedni, jedzą tak po większej części, że pokarm nie przynosi im tego pożytku, jaki zeń możnaby osiągnąć, przez co marnują prawie pieniądze na ten cel wydane. Trzeba bowiem wiedzieć, że znacznie większa część materij pożywnych, jeśli nie tak bywa używaną, jak należy, wówczas zamiast przejść w krew, zostaje z ustroju wydaloną razem z kałem. Ażeby temu zapobiedz, konieczną jest rzeczą, dobrze przygotować i dostatecznie rozdrobnić (zżuć)

zębami, każdy pokarm trwały, a zwłaszcza mięso, gdyż przez to soki (głównie zaś kwaśny sok żołądkowy) mogą łatwiej w żołądku i przewodzie kiszki połączyć się z owym pokarmem i takowy rozpuścić. Im bardziej jakikolwiek pokarm jest płynny i rozmięczony, im prędzej może być przyprowadzony do takiej postaci w przyrządzie trawienia, oraz im łatwiej mogą go przeniknąć soki trawienne, tem więcej bywa on strawnym i tem łatwiej przechodzą w krew pożywne jego części.

Sposób więc przygotowania pokarmu posiada bardzo ważne znaczenie. Dobrze ugotowany lub upieczony, miękki kawałek mięsa, podobnie jak dobrze zżuty, daleko jest strawniejszym od twardego lub źle zżutego mięsa. Jajka na twardo są bardzo trudne do strawienia, gdy tymczasem, ugotowane na miękko, żołądek trawi nadzwyczaj łatwo. Twarde, nierozpuszczalne, a zatem trudnostrawne części pokarmu, jak łuski, łupiny, ziarna, liście i t. p., osłaniając rozpuszczalne, łatwostrawne materije pożywne, tamują przystęp do nich soku żołądkowego i nie pozwalają im rozpuścić się. Tak np. niestarte owoce strączkowe (również nasiona zbóż), zostają wydalone z żołądka, nie będąc prawie wcale strawionymi. Bardzo tłuste materije, stają się także trudnymi do strawienia, skoro płynny tłuszcz, nieprzenikliwy dla wodnistego soku żołądkowego, otoczy zupełnie rozpuszczalne ich części. Mleko, jeśli pijemy je zwolna, w małych ilościach, i spożywamy jednocześnie chleb, zsiada się w żołądku w niewielkie kawałki, które sok żołądkowy łatwo przenika i dostatecznie je rozpuszcza. Przeciwnie, znaczna ilość mleka wypita na raz jeden i szybko, tworzy w żołądku duże kawałki twarogu, długo opierające się rozpuszczeniu przez sok żołądkowy. Z kilku tych przykładów, czytelnik może już przekonać się, o ile ważnym jest sposób użycia pokarmu.

Skoro raz przyjmiemy za zasadę, że ludzie, zarówno jak zwierzęta i rośliny, nie mogliby żyć bez pokarmu, że pokarm ten powinien składać się z pewnych materij pożywnych (mianowicie takich, które wchodzi w skład ustroju), i że wszystkie te materije muszą być tak przerobione za pomocą sprawy trawienia, ażeby mogły przejść w krew i służyć do utworzenia tkanek, to nie trudno pojąć, jak wielkie ma znaczenie wybór pokarmu oraz sposób przygotowania go i użycia. Głównie, potrzeba starać się o dostarczenie ustrojowi odpowiedniej ilości wody, materij białkowatych (dla utworzenia tkanek), tłuszczów i materij tłuszcz tworzących czyli paliwa. Odnosnie do materij białkowatych, wypada nadmienić, że nie stanowi to wielkiej różnicy, czy one będą użyte w takiej postaci, w jakiej znajdują się w ustroju, czy też winnej, — byleby zostały doń doprowadzone, przeróbka zaś ich odbywa się sama przez się. Toż samo można powiedzieć i o tłuszczach. Nie mając zatem włókniaka mięsnego, można go zastąpić serem, białkiem jajka, lub nawet klejem ziarn zbożowych i leguminem (sernik roślinny) owoców strączkowych. Tłuszcz mienny, masło i żółtko jajka, można zastąpić olejami roślinnymi lub materijami tłuszcz tworzącymi (zawierającymi krochmal lub cukier). Tym sposobem przy-

roda pozostawiła człowiekowi wielki wybór materij pożywnych. Bez względu jednak na to, zdarzają się wypadki, w których trudno jest nabyć dobry pokarm, lub kiedy narzędzia trawienia, rozstrojone czy też osłabione w skutek choroby, nie są w stanie strawić zwykłego pożywienia. Na takie wypadki, nauka odkryła możność przygotowania z różnych materij pożywnych stosownego pokarmu, odznaczającego się tem, że nawet w najmniejszej ilości bywa on dość pożywny, może być zachowany przez czas długi, łatwo się przyrządza, wygodny jest do przewożenia i okazuje się łatwostrawnym nawet dla słabego żołądka. Z podobnych, sztucznie przygotowanych materij pożywnych, wygodnych do użycia szczególnie podczas wojny i wszelkich wypraw na lądzie i morzu, w szpitalach, w fortcach, na okrętach, przy różnych cierpieniach żołądka i kiszek, przy niedokrwistości i ogólnem osłabieniu ustroju, znane są nam: wyciągi mięsne, wyciągi słodowe, suche mleko i surrogaty mleczne. Pomiedzy niemi, najważniejsze znaczenie posiada *wyciąg mięsny Liebiga*, o nim więc najprzód podamy tutaj bliższe szczegóły.

d. n.

NASZE CZASOPISMA.

II.

Przemysł i handel. — Któż dopomoże? — Ochl gdyby to czytano i rozumiano! — Panowie wydawcy i pani publiczność. — Odezwa bez skutku. — Atramentum perdidit!

A *propos* dziennikarstwa pomówmy o przemyśle krajowym...

Jak szuwaks, zapalki, materije jedwabne i wełniane, półgaski i marynaty, tak i literaturę w przeważnej części sprowadzamy z zagranicy.

Oto jest twierdzenie, które w krótkich słowach postaram się uzasadnić i dowieść. Rzecz będzie nie trudna, bo o ubóstwie swoim wszyscyśmy podobno najmocniej przekonani. Ale nie idzie tu o ubóstwo, tylko o niezarażność, jak się niebawem z pewnością przekonamy.

Co jest najbardziej popłatne nie tylko w naszym ale i we wielu innych społeczeństwach? Ba! a któż na to odpowie! Są gusta i gusteczka. Prawda. Mówiąc i myśląc ciągle o literaturze, zdawało mi się, że nikt nie może zastosować mego pytania do niczego innego jak tylko do literatury. Zgrzeszyłem, biję się w piersi i stawiam dokładniej pytanie: Jaki rodzaj utworów literackich przypada czytelnikom naszym najwięcej do gustu? Powieść, nieprawdaż?

Otoż jeżeli powieść najwięcej ludzi pociąga do siebie, to naturalną jest rzeczą, że wedle prawa ekonomicznego, popyt wywołuje podaż. To znaczy ponieważ potrzeba wielkiej masy powieści, więc wydawcy starają się potrzebie tej uczynić zadosyć. I nie ma co mówić, zadosyć czynią. Ale jak? czy myślicie, że za pomocą płodów krajowych, za pomocą powieści oryginalnych? Broń Boże! Jeżeli np. królestwo Polskie potrzebuje rocznie 80 powieści, to z pewnością wyjdzie oryginalnych 30 a tłómaczonych 50. Nie mówię tego na wiatr; ale opieram się na dokładnych spisach z lat kilku. Tak jest. Produkcja krajowa nie może zastąpić potrze-

Nr. 46.

bie, więc sprowadzamy płody zagraniczne byle jakie i byle jak, na nasz stół przyrządzone. Stąd w przekładach powieści nie oglądają się oczywiście za areydziałami albo przynajmniej za utworami takimi, któreby istnienie swoje w naszej literaturze duchową koniecznością tłómaczyły; lecz poprostu dbają o zapełnienie szeroko rozwartych a pustych szpalt w czasopismach.

Rzecz naturalna. Przekłady powieści nie wymagają wielkiego *trudu* ani *wydatku*. Dwie te okoliczności wpływają podwójnie na piśmiennictwo: wytwarzają ludzi, zajmujących się mechaniczną niemal pracą *przekładania* z jednego języka na drugi, przyczem często, czy to z pośpiechu czy z nieumiejętności popełniają się grube błędy; a powtóre druga okoliczność, kwestyja taniości, wypiera z pism utwory oryginalne, zniechęca powieściopisarzy lub też kwalifikujących się do tego zawodu i zapycha nasze dzienniki i tygodniki masą cudzoziemskiego towaru. Pytanie o pożytek literatury staje się w takich razach rzeczą obojętną. Nie mówię ja już bowiem o wyzyskiwaniu brudnych instynktów, chociaż i to się zdarza, jeżeli nie w naszych czasopismach, to w oddzielnych wydawnictwach. Ale chodzi mi tu przedewszystkiem o brak umiejętnego wyboru z pośród stosów, utworzonych przez wielojęzyczne powieści, którychby dużo wypadało przejrzeć, nimby się wreszcie na jakąś dobrą i użyteczną natrafiło.

Zupełnie inaczej rzeczby się miała, gdyby utwory talentów krajowych pierwsze potrzeby zaspokajały; gdyż wówczas przekładano by z języków obcych takie tylko dzieła, których umysłowość nasza wytworzyć niezdolna z powodu albo narodowego charakteru, albo mniej przyjaznych okoliczności. Wówczas literatura nasza *wzbogacałaby się* tłómaczeniami, kiedy dzisiaj *zapełnia się* tylko.

Zapełnia się! Zapełnia się! mógłby kto powiedzieć. Co tu gadać o zapełnianiu, kiedy powieść dzisiejsza w całej Europie w ogóle zmalala i nie ma już tego interesu ani tej wartości, jaką miała przed kilku dziesiątkami lat.

Na te wywody jednego ze Stańczyków krakowskich odpowiem tak. Na pańskie zbyt absolutne zdania zgodzić się nam trudno; gdyż mamy przed oczyma przykłady żywotności romansu w literaturze angielskiej, niemieckiej a nawet francuskiej i czeskiej. Ale gdybyśmy się nawet i zgodzili, to pozostałoby nam do przekładu wiele dzieł znakomitych z czasów ubiegłych, któreby daleko więcej wzbudzały zajęcie, daleko świeżejby wyglądały, niż niejedne z dzisiejszych. Przedewszystkiem zaś potrzeba sumiennie poszukiwać dzieł dobrych i z namysłem do wyboru przystępować.

Dwa te atoli warunki wtedy dopiero spełnione być mogą, kiedy zaspokojone zostanie wymaganie, ażeby produkcja krajowa wystarczała potrzebom najpilniejszym czytającej publiczności.

Żądań naszych pod tym względem nie posuwamy zbyt daleko. Pragniemy jednak, ażeby na początek nastąpiła równowaga, to jest żeby liczba powieści oryginalnych wyrównywała rocznie liczbie powieści tłómaczonych, gdy dotychczas stosunek ten, jak widzieliśmy, o wiele gorzej się przedstawia.

Mamy w Warszawie czasopisma, żywiące się prawie wyłącznie samemi tłómaczeniami, np. Tygodnik romansów i powieści, Biblioteka romansów, Wędrowiec, Gazeta Warszawska. Panowie wydawcy! czy nie wartoby było pomyśleć trochę o dobru literatury? Powiecie może, że nie ma dosyć talentów w kraju, ażeby mieć powieści oryginalne. Macie w części rację, ale tylko w części. Gdybyście pragnęli, znaleźlibyście to, czego dziś nie macie. A potem, gdyby wszystkie nasze pisma jednako się starały o utwory oryginalne, pojawiłyby się bezwątpienia talenty, dziś inną zajęte pracą, gdyż nie widzą możliwości zużytkowania swej pracy na polu powieściowym.

Kwestyja stosunku naszej literatury oryginalnej do tłómaczonej zależy, jak się zdaje, przeważnie od wydawców. Jeżeli ci, co mogą, nie zechcą skąpić na wydawnictwa, na których dobrze wychodzą, jeżeli postarają się czynnie protegować wytwór krajowy, to producenci się znajdą, gdyż kraj nasz, dzięki Bogu, nie jest pozbawiony zdolności i talentów; a brak mu tylko środków do ich zużytkowania.

Tyle przyznając wydawcom, nie można jednakże nie przemówić słów kilku do publiczności. I ty, szanowna publiczności, winnaś wiele nawałowi tłómaczeń, gdyż wolisz pasztety sztrasburskie niż budyń, wolisz to, co przychodzi z za gór i mór, niż to co się rodzi w kraju. Wołali na ciebie publicyści, zaklinali na wszystkie świętości, ażebyś się pozbyła bałwochwalstwa zagranicy; a ty nie... Trwasz przy swoim jak głucha; dopytujesz się tylko ciekawie o Dumasa i Gaboriau. Trudno, żeby mój słaby głos miał co u ciebie zawżyć; mówię też głównie dla spokojności sumienia. Niech potomność nie powie, że w siódmym dziesiątku XIX stulecia nie było nikogo, coby przemawiał za krajową produkcją w literaturze.

Ale któż wie? Może też publiczność na złość pesymistom i mnie, chcąc przytem zadać kłam wierszowi Juljusza, że u nas myśl nie trwa ni godziny, zechce łaskawie rozważyć tę sentencyję moralną. „Trzeba o sobie samych pamiętać, kiedy nikt o nas nie pamięta.”

X.

GAWĘDY OGRODNICZE.

V.

Główne sposoby sztucznego rozmnażania roślin.

Ludzie naśladowający we wszystkim naturę, oddawna zauważyli że używa ona do rozmnażania roślin nie tylko samego rozsiewania nasion, lecz także i innych dowcipnych sposobów. Tak np. jedne rośliny wypuszczają z siebie cienkie odrostki, wasy i na nich w pewnych miejscach tworzą się nowe roślinki, jak to bywa u poziomek; to znów lodyga podziemna posuwa się coraz dalej końcami swemi a z niej wyrastają nowe egzemplarze; to nareszcie w pewnych miejscach lodygi tworzą się różnokształtne kulki lub wyrostki często do nasion podobne i te upadłszy na ziemię wschodzą, jak to się dzieje u niektórych cebul, lilij i t. p.

Wszystkie te liczne przykłady naprowadziły człowieka na drogę rozmnażania roślin innymi sposobami niż z nasion. Rozmnażanie takie nazywa się sztucznem, podczas gdy otrzymywanie roślin z nasion jest naturalnem. Posługujemy się sztucznem rozmnażaniem wtedy, gdy z nasienia nie można otrzymać roślin posiadających pożądane dla nas zalety. Tak np. nasienie róż pełnych wydaje dziką różę, tymczasem przez sztuczne rozmnażanie można ciągle różę z pełnym kwiatem otrzymywać.

Nie wdając się zbyt znacznie w klasyfikację sposobów sztucznego rozmnażania polegającą głównie na tem, że rośliny mnożyć można ze wszystkich ich organów, w niniejszym artykule zajmiemy się tylko sposobami głównie mającymi zastosowanie w praktyce.

Trzy są najważniejsze grupy mnożenia roślin: szczepienie, odkładanie i sadzonkowanie; polegają one w ogóle na żywotności szczególnej łodygi, która w najdrobniejszej części tejże, tak silnie się przejawia jak i w całości.

Szczepienie stosujemy w praktyce głównie do roślin drzewiastych. Zasada się ono w krótkich słowach na połączeniu części jednej rośliny z drugą, przyczem praktyka nauczyła, że jeżeli uczyniono zadość pewnym warunkom, to część zaszczipiona rośnie na nowej roślinie w dalszym ciągu tak zupełnie, jakby na roślinie z której jest odjęta. Zwykle odmiany lub gatunki lepsze szczepimy na gorszych, otóż część rośliny szlachetnej, którą zaszczipić mamy nazywa się *zrazkiem*, roślina zaś na której się szczepi *dziczką* lub *podkładką*.

Wspomnieliśmy że szczepienie udaje się tylko przy zachowaniu pewnych warunków. Oto one:

1) Szczepić można tylko rośliny bardzo do siebie podobne, np. dobre odmiany grusz na jakiegokolwiek gruszy dzikiej, lecz grusze na wierzbach, ani różę na dębach nie udają się; co jak niektórzy mniemali miało wydawać różę czarną.

2) Miazgi zrazka i dziczki powinny się znajdować w zetknięciu przynajmniej na kilku punktach, należy bowiem wiedzieć że miazga jest to tkanka soczysta pomiędzy korą i drewnem położona, tem szczególna że komórki jej mają własność rozmnażania się. Otóż jeżeli miazga zrazka zetknie się z miazgą dziczki, wytwarza się zwykle z ich zobopólnego działania warstewka komórek spajających obie te obce dotąd dla siebie części; soki dziczki przedostają się do zrazka, zaczynają go żywić, rozwijają się pączki i liście, szlachetna roślina żyje na dzikiej i wydaje wspaniałe kwiaty lub smaczne owoce.

Są jeszcze inne warunki na które przy szczepieniu zwracać należy uwagę, tak np. można szczepić rośliny tylko w czasie zimowego spoczynku czyli wtedy gdy nie rosną, co ma miejsce zwykle od jesieni do wiosny, nadto nacięcia powinny być robione ostrym nożem i zabezpieczone od przystępu powietrza przez zasmarowanie maścią.

Najprostszy sposób szczepienia *przez zbliżenie* polega na zetknięciu dwóch roślin; szlachetnej i nieszlachetnej, rosnących obok siebie. W tym celu robi się nacięcia do rdzenia sięgające, składa się obie części

nacięte, wiązuje i zasmarowywa maścią ogrodniczą. Wkrótce obie rośliny zrastają się a po upływie roku odcinamy wierzchołek lepszej pod punktem zaszczipienia i otrzymujemy dwa egzemplarze. Sposób ten naśladowany z gałęzi drzew leśnych, które często zbliżone do siebie przypadkowo, zrastają się, stosowanym bywa do roślin oranżeryjnych i umacniania żywych płotów.

Najlepszym a zarazem najdogodniejszym w zastosowaniu sposobem jest szczepienie przez *łączenie* (stosowanie, kopulizacja), wymagające tylko żeby zrazy były tak grube jak dziczki. Włączeniu ścina się ukośnie zrazek podobnież i dziczek, składa się je ze sobą żeby dobrze pasowały, obwiązuje i zasmarowywa.

Drzewka szczepione w ten sposób tak doskonale zrastają się i goją rany, że trudno po kilku latach poznać gdzie nacięcie zrobiono.

Mniej praktyczne odłączenie jest *szczepienie w szparę* stosowane do dziczek bardzo grubych. Przy szczepieniu w szparę rozłupuje się pień w kierunku osi i zasadza w szparę zraz zacięty klinowato. Widocznem jest że duża rana z trudnością i długo się goi. Przy szczepieniu opisanem powyżej używamy zrazków będących częściami gałęzi, opatrzonych dwoma lub trzema oczkami. Jest jeszcze inny sposób szczepienia, polegający na użyciu zrazek jednego tylko oczka i to w czasie wzrostu roślin — jest to *oczekowanie* (okulizacja).

W dwóch epokach można oczkować rośliny; albo z wiosny dopóki pierwszy przypływ soków nie minie, albo też zaczynając od sierpnia do pierwszych przymrozków. W pierwszym przypadku zwykle oczko tegoż samego lata jeszcze wyrasta w pęd nowy stąd oczekowanie wiosenne zowią inaczej oczkowaniem w *żywe oczko*. Z oczek zasadzonych w jesieni czyli *martwych*, wychodzą pędy dopiero w roku następnym. Oczkowanie ostatnim sposobem lepsze jest, bo pędy wychodzące z żywego oczka nie mają czasu dobrze zdrzewnieć do jesieni, a zatem od silnych mrozów łatwo giną, podczas gdy martwe oko łatwo zimuje. W każdym razie postępowanie przy oczkowaniu wiosennym czy jesiennym jest jednakowe. Oczka siedzą w kątach ogonków liściowych, ucinamy przeto na zraz pęd tegoroczny dobrze już sformowany, odcinamy nożem blaszki liściowe aż do ogonków, żeby nie wyciągały niepotrzebnie soków ze zrazu i nożykiem do oczkowania, zdejmujemy tarczę kory wraz z liściem i oczkiem. Cała zręczność i wprawa przy tej czynności polega na wprowadzeniu końca nożyka pod korę i przecięciu wiązki włókien drzewnych, które z łodygi zrazu do oczka wchodzi i niezbędnie są potrzebne żeby oczko mogło się zrosnąć z dziczką i wydać pęd. Często bardzo przy zdejmowaniu tarczy pominięty kawałeczek drewna zwany *duszą* wyskakuje a oczko *osłepione* wtedy, jak mówią ogrodnicy, na nic nie jest przydatne.

Otrzymawszy oczko, bierzemy je do ust tak jednak żeby nie oślinić a tymczasem na korze dziczki w gładkiem miejscu robimy nacięcie w kształcie litery, brzegi kory unosimy kostką i przez otwór wsuwamy tarczę trzymając ją i popychając za ogonek liścia, poczem obwią-

zujemy ranę łyżką lub włóczką i oczkowanie skończone.

Odkładanie. Łodygi wszystkich roślin zielnych czy drzewiastych w zetknięciu z ziemią wilgotną łatwiej lub trudniej puszczaają w miejscu zetknięcia korzenie i żywią się niemi. Po pewnym czasie dosyć jest tak zakorzenioną część łodygi odciąć od macierzystego pnia, żeby nową roślinę otrzymać. Tak puszczaają korzenie dzikie bluszcze, przetacznik (*veronica*), koszyko (*verbena*), a z zamorskich rozmaite figi, liiany i t. p.

Przez odkładanie rozmnażać można rośliny w ciągu całego lata. Czynność to bardzo prosta, polega bowiem na dokładnem spulchnieniu i doprowadzeniu ziemi, nagięciu gałęzi do niej, przypięciu ich za pomocą haczyków drewnianych (kulek) i opsypaniu ziemią. Dla wielu roślin proste obsypanie wystarcza np. dla bluszczy, dzikiego winu i t. p. inne jednak trudniej puszczaają korzenie i te w miejscu nagięcia naciąć trzeba. Są nareszcie rośliny których gałęzie sterczą do góry a z powodu kruchości naginanemi być nie mogą. Dla takich używamy *odkładów w powietrzu*. Nacina się gałęź w pewnym miejscu lub ścisną drutem dla powstrzymania soków, okrywa się mchem wilgotnym lub ziemią i obejmuje doniczką na połowę przeciętą i związaną. W takich warunkach korzenie rozwijają się a po odcięciu otrzymujemy nową roślinę.

Odcinać nie można raptownie od razu, żeby młoda roślinka, nieprzywykła żyć o swojej mocy nie uschła. Zwykle robi się nacięcie do połowy, a po pewnym czasie odcina się zupełnie.

Odkładanie jest sposobem bardzo dogodnym, daje rośliny mocne, dobrze zakorzenione i dla tego obszerne ma zastosowanie w ogrodnictwie do rozmnażania winorośli, agrestów, pigw, rajskich jabłonek używanych na podkładki do szczepienia i t. p. Szczególniej młode krzaki winy z odkładów otrzymane już w drugim roku przynoszą owoce, zwłaszcza też jeżeli odkład zrobiony był w koszu i razem z ziemią przeniesiony na miejsce przeznaczenia.

Sadzonkowanie. Każda część rośliny która może z siebie wydać pączki lub jest już niemi opatrzona, może służyć za *sadzonkę*¹⁾. Przemiana sadzonki w roślinę polega na tem, że w każdej części rośliny opatrzonej pączkami z materjału w niej zawartego mogą powstać pierwsze korzenie, które następnie wyżywić ją mogą. Często zdarza się, że tego materjału budowlanego tyle jest w sadzonce, że i pączki i korzenie jego kosztem powstają. Ogólnie zatem rzeczy biorąc, sadzonka jest to roślina nie posiadająca korzeni.

Żeby się w sadzonce rozwinąć mogły te ważne organa odżywiania, należy zachować pewne ostrożności będące w związku z warunkami w jakich się sadzonka znajduje. Ponieważ jest to część rośliny często opatrzona liśćmi a zatem ulegająca parowaniu, którego kosztów nie ma czem pokryć, bo nieobecne korzenie wody jej nie dostarczają, przeto należy dostarczać wody sadzonkom skrapiając

¹⁾ Wyraz sadzonka zastępuje doskonale z niemieckiego *więty sztoper*, jak odkład zastępuje niem. *abieger*.

je często a zarazem przykrywając oknami inspektowymi lub szklanymi kloszami i to dopóty, dopóki młode korzenie funkcjonować nie zaczną.

Grunt w którym chcemy umieścić sadzonki powinien być lekki, przepuszczalny dla wilgoci i powietrza, w przeciwnym bowiem razie sadzonki łatwo gniją. Najodpowiedniejszy do takiego rozmnażania jest czysty piasek rzeczny, gruboziarnisty lub też pomieszany z ziemią z przegniłych liści powstałą. Niektórzy sadzonkują w trociny, tłuczony węgiel drzewny i t. p. Silne światło słoneczne szkodzi wogóło rozwijaniu się korzeni, dla sadzonek zaś tembardziej jest niepożądane, że towarzyszy mu zwykle podwyższenie znacznej temperatury a więc i parowania. Z tego to powodu cieniuje się sadzonki przez większą część dnia słonecznego.

Do rozmnażania z sadzonek używa się albo gałązek zupełnie wykształconych i z tych mnoży się zwykle w ciągu spoczynku roślin, albo pędów opatrzonych liśćmi, co ma miejsce w ciągu całego lata. Manipulacja przytem jest następująca:

Tnie się pędy lub gałązki ¹⁾ na kawałki opatrzone kilkoma oczkami, część która ma pójść w ziemię przycina się pod samem oczkiem nie ukośnie lecz prostopadle do gałązki, nożykiem bardzo ostrym. W takim tylko razie rana zalewa się, jak mówią ogrodnicy, a na granicy kory i drewna tam gdzie się znajduje miazga, powstaje poduszczekowaty pierścień zwany *piętką*. Z piętki po pewnym czasie wychodzą korzenie i wtedy sadzonka poczytuje się za przyjętą; stała się ona nową, samoistną rośliną.

Sadzonkowanie jest najdogodniejszym sposobem rozmnażania. Nie wszystkie wszakże rośliny dają się za pomocą niego rozmnażać. Niektóre wcale korzeni nie tworzą, gniją i giną. Ogrodnicy dopomagają w trudnych razach umieszczając takie rośliny w temperaturze wyższej od tej w której zwykle żyją, bądź to na inspekcji, bądź też na cieplarni zwanej *rozmnażalnią*. Mimo to wszystko pewne rośliny o drzewie bardzo twardem, wcale się rozmnażać nie dają.

Główne sposoby sadzonkowania są:

Z *gałązek* które zakorzeniają się w ziemi mniej lub więcej łatwo. W ogóle z gałązek rozmnaża się rośliny łatwo wydające korzenie, jak np. porzeczki, wino dzikie i szlachetne, i t. p. Często bardzo gałęzie całe wsadzone w ziemię zakorzeniają się, ma to miejsce u wierzby, topoli i t. p. Jedno z drzew indyjskich *Pterocarpus marsupium*, daje się rozmnażać z całych pniaków na 5 — 6 cali grubych i na kilka łokci długich, o czem świadczy Lindley w Teorii ogrodnictwa.

Zauważono że łatwiej zakorzeniają się gałązki oderwane gwałtownie od gałęzi czyli z piętą t. j. częścią starszego drzewa, że jednak w takim razie drzewo mocno cierpi, przeto do podobnego rozmnażania używa się egzemplarzy na zniszczenie przeznaczonych.

Nacinanie sadzonek pod oczkami które w ziemię pójść mają, zrzynanie nad nimi pasów kory, robienie na gałązkach, póki jeszcze są na roślinie macierzystej, nabrzmień za pomocą przewiązywania drutem, bardzo ułatwiają zakorzenianie się sadzonek.

Jeżeli sadzonki robimy w gruncie, należy wybrać do tego położenie ocienione, grunt lekki, wilgotny, ciąć gałązki na 6 — 8 cali długie i zanurzyć je w ziemię tak, żeby jedno lub dwa oczka tylko wyszły nad jej powierzchnię. Często bardzo kawałek gałązki opatrzonej jednym tylko oczkiem, może dać początek nowej roślinie, takie jednak sadzonki udają się tylko w ciepłym inspekcji lub w gruncie w ciepłych krajach. W praktyce rozmnażamy w ten sposób winorośl, a zwłaszcza też odmiany z których posiadamy mało gałązek (wieć).

Przechodząc do sadzonek opatrzonych liśćmi w ogóle zauważyć można, że zakorzeniają się one łatwiej w doniczkach lub miskach z niepolewanej gliny, korzenie bowiem dążą do powietrza i wilgoci przesiąkającej przez ściany naczyń i silnie rozwijają się przy tychże ścianach. Za sadzonkę niekoniecznie służyć musi gałązka lub część jej, często liść jeden wystarcza, co nikogo dziwić nie powinno, ze względu na przyrodę liścia, który jest tylko zmienioną gałęzią. Liście zatem niektórych roślin posiadają własność wytworzenia pączków i korzeni, a z tych nowe roślinki powstają. W taki sposób rozmnażają się głównie begonije, których liście ponacinane na nerwach; na płask na piasku położone dolną powierzchnią, wydają po kilkanaście nowych egzemplarzy. Roślina pochodząca z wysp Moluckich zwana *Bryophyllum calycinum*, posiadająca liście karbowane w każdym zagłębieniu pomiędzy karbami, wydaje nową roślinę.

Z zakorzenionymi sadzonkami ostrożnie postępować trzeba, powoli przyzwyczajając je do powietrza, gdy zaś dobrze rosnąć zaczną, przesadzić najprzód w małe doniczki, potem w większe. Przesadzone od razu w duże doniczki od nadmiaru wilgoci giną.

Sadzonki rozmnażane w gruncie, mogą być wprost w grunt przesadzane bez zachowania powyższych ostrożności.

E. Jankowski.

ŁOWIENIE PERŁ na wyspie Cejlon.

Najwięcej muszli perłowych znajduje się w morzach strefy gorącej; z tak zwanych zaś ławin perłowych są największe nad brzegami wyspy Cejlon, leżącej w Oceanie Indyjskim, dalej w morzu Japońskim i zatoce Perskiej. Połów perłowy odbywający się rok rocznie na wyspie angielskiej Cejlon, jest bliżej określony rozporządzeniami rządowymi. Rząd oznacza miejsce w którym połów ma się odbywać; czas, jak długo ma trwać; ogranicza ilość statków, mających być użytych i pod temi warunkami wydzierżawia przez publiczną licytację najwięcej dającemu prawo łowienia muszli perłowych. Główny przedsiębiorca wypu-

szeza częściowo nabyte prawo połowu, on sam jednakże za dotrzymanie warunków przepisanych przed rządem jest odpowiedzialny. Wydobyte muszle składają w miejsca palami ogrodzone, a mięczaki muszle te zamieszkujące, pozbawione wody, szybko gniją i rozkładają się zaczynają. Gdy już rozkład ten, połączony z nieprzyjemnym i odrażającym zapachem dostatecznie postąpił, skutkiem czego muszle łatwiej otworzyć i perły lżej wydobyć można, zabierają się robotnicy pod najściślejszym dozorem do wyszukiwania pereł. Przy pracy tej niewolno im pod najsurowszą karą zbliżać rąk do ust, a jeżeli przypadkowo pomimo zakazu, który z nich perłę połknie, natychmiast zmuszają go za pomocą środków lekarskich do oddania tego, co sobie bezprawnie przywłaszczył.

Do wydobywania muszli tych, które zazwyczaj na dnie morza do jakiej skały są przyrośnięte i jeżeli w większej ilości są nagromadzone, ławiny tworzą, używają nurków. Nurki, w kosz i nóż opatrzeni, przywiązują sobie do nogi kamień, ażeby się łatwiej na dno morza spuścić mogli, a przewiązawszy się w pas liną, której koniec do statku jest przymocowany, zapuszczają się w głębiny. Nurek za pomocą noża muszle przyrośnięte oddziela a napelniający nimi kosz, lub gdy dla braku powietrza dłużej pod wodą wytrzymać nie może uwalnia nogę od przywiązanej do niej kamienia i daje znak przez poruszanie liny, ażeby go z wody wyciągnięto. Pomimo że nurki od pierwszej młodości do rzemiosła swego się wprawiają, pozostawanie jednak pod wodą jest dla nich przykre i uciążliwe, a ze względu na wielką ilość morza te zamieszkujących drapieżnych zwierząt nader niebezpieczne. To też wynagrodzenie ich ze względu na niebezpieczeństwa, na które są wystawieni, jest znaczne, otrzymują bowiem czwartą część wydobytych muszli perłowych. Każdy nurek łowi takowych 1,000 do 4,000 w przecięciu dziennie. Ilość znalezionych pereł nie da się tak łatwo obliczyć, albowiem w niejednej muszli znajdują 30—40 pereł, gdy tymczasem w stu innych ledwie będzie jedna. Połów pereł nad brzegami wyspy Cejlon przynosi rządowi angielskiemu rocznie około 50,000 funt. szterlingów, w niektórych zaś latach przeszło 100,000 funtów (przeszło 700,000 talarów). Dzisiaj dostarczają najwięcej pereł zachodnie wybrzeża północnej i południowej Ameryki.

W niektórych rzeczkach Europy trudnią się także łowieniem muszli perłowych rzecznych. Zasluguje tu na wzmiankę Elstera, w rzece tej już od kilkuset lat łowieniem pereł się trudnią, połów ten jednakże na małą odbywa się skalę i więcej straty jak korzyści przynosi, koszt bowiem połowu na 400 talarów obliczono, gdy tymczasem znalezione perły zaledwo 100 talarów są warte.

Perły nie tylko w muszlach perłowych, ale także w wielu innych rodzajach muszli chociaż rzadko napotykamy. Jakkolwiek wielu gastronomów na honor się klną, że dotąd ani jednej perły nie znaleźli, pomimo że na jednym posiedzeniu po 3—5 tuzinów ostryg zjadają, możemy jednak ich zapewnić, że perły i w tych małżach chociaż bardzo rzadko się pojawiają. Nie myślimy przeto panów tych zachęcać do poszukiwań naukowych w celu

¹⁾ Pęd jestto rozgałęzienie tegoroczne, gałązka zeszłoroczne a więc każdy pęd po opadnięciu liści w jesieni zamienia się w gałązki i tę nazwę nosi do następnej jesieni kiedy staje się gałęzią.

wykrycia, na ile ostrzyg zjedzonych jedna perła przypadnie, gdyż ze zbyt wielkiego zapasu do badań przyrodniczych gotowiby majątek stracić, zanimby jedną perłę odkryli; nie każdemu bowiem uda się podobać, jak owemu Hamburczykowi, znaleźć w ostrzydze perłę, za którą mu 22 talary zapłacono.

Ponieważ perły do kosztowniejszych należą przedmiotów, od dawna też już starają się takowe naśladować. Wyrabiają zaś je już to z żebów tak zwanej dziewczycy morskiej (*Halicore cetacea*), zwierzęcia ssącego dwupletowego, zamieszkującego morze Czerwone, już też z alabastru lub szkła. Perły szklane są z nich najważniejsze a główne fabryki znajdują się w Paryżu, Wenecyi i Wiedniu.

ŚLADY ŻYCIA.

XLV.

Z pomiędzy licznych koncertów, jakie w obecnej porze mają miejsce w Warszawie, koncert na korzyść niezamożnej młodzieży uniwersyteckiej, na szczególne zasługuje poparcie. Ma się on odbyć w ciągu jeszcze bieżącego miesiąca a urządzeniem zajmuje się p. Quatrini dyrektor opery.

* * *

Wspominając o otwarciu szkoły technicznej przy warsztatach mechanicznych drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, przyrzekliśmy dać o niej następnie więcej szczegółową wiadomość. Jako spełnienie tej obietnicy donosimy obecnie, że wzmiankowana szkoła, udzielać ma niezbędne wykształcenie *kandydatom do pełnienia drugorzędnych obowiązków przy drogach żelaznych* a zatem uczęszczać do niej będą: 1° rzemieślnicy i robotnicy pracujący przy warsztatach mechanicznych rzeczonych dróg żelaznych; 2° dzieci osób zostających w służbie tychże dróg i 3° osoby obce.

Szkoła dzieli się na dwa oddziały a mianowicie na *przygotowawczy* o dwu klasach i *specyalny* o trzech klasach.

W oddziale *przygotowawczym* wykładane będą: *nauka religii, język rosyjski* t.j. nauka czytania, pisanie, tłumaczenia, ćwiczenia pamięciowe oraz początki gramatyki, *język polski* w podobnym corosyjski zakresie, *z arytmetyki* cztery działania z liczbami całkowitemi, rachunki pamięciowe a nadto rysunek linarny.

W oddziale *specyalnym*: *język rosyjski, geografia i historia rosyjska, z arytmetyki* liczby wielorakie, ułamki dziesiętne, proporcje, o miarach i wagach, początki *geometrii, fizyki i mechaniki* stosowanej do rzemiosł, *nauka o rzemiosłach*; początkowe wiadomości o budowie i eksploatacji dróg żelaznych pod względem technicznym i administracyjnym, nadto rysunki ręczne i linearne.

Wykład wszystkich przedmiotów w ciągu pierwszych lat trzech, odbywać się będzie w języku polskim, następnie w języku rosyjskim. W godzinach wolnych od wykładów, uczniowie kształcić się będą w stolarstwie, ślusarstwie i innych rzemiosłach, tudzież w jeździe i obsłudze parochodów a na linii drogi żelaznej po stacjach i przy telegrafie, we wła-

ściwych czynnościach praktycznych. W miarę środków założy się przy szkole odpowiednią nauce bibliotekę i muzeum modeli, przyrządów, planów i t. p.

Z końcem każdego roku szkolnego uczniowie powołani będą do egzaminu. Uczeń posiadający świadectwo zukończzonego dostatecznie kursu, po odbyciu dwuletniej praktyki przy jednej z kolei żelaznych otrzymuje patent. W każdej klasie znajdować się może najwięcej 40 uczniów. Pierwszeństwo w przyjęciu pozostawia się osobom zostającym w służbie dróg żelaznych warszawsko-wiedeńskiej i bydgoskiej. Wiek dla wstępujących do oddziału 1-go nie określa się; wszakże do pierwszej klasy oddziału 2-go, przyjmowani będą mający przynajmniej 13 lat skończonych.

Opłata roczna za naukę wynosi: od uczniów w oddziale 1 rs. 6 w oddziale 2 rs. 12. Rada szkolna mocna jest uczniowi zmniejszyć opłatę lub od takowej w zupełności go uwolnić. Jeżeli z rodzeństwa dwóch lub więcej uczniów do szkoły uczęszcza, wtedy opłata od każdego pobierana będzie w połowie. Opłata wnosi się jednorazowo lub miesięcznie z góry. W razie choroby, uczniowie korzystają z bezpłatnej pomocy lekarza dróg żelaznych.

Zakres nauk, stosownie do rozwoju szkoły i za zezwoleniem ministerjum dróg i komunikacji, może być rozszerzony.

* * *

I znowu śmierć zabrała jednego z pracowników na naszej literackiej niwie. W dniu trzecim b. m. i r. zmarł nagle we wsi Chałaimgrodku w pobliżu Berdyczowa, wysoko ceniony poeta i prozaik s. p. *Aleksander Groza* w wieku lat 68. wychowaniec Wileńskiej wszechnicy, s. p. Groza zawód literacki rozpoczął w r. 1835, ogłaszając utwory swoje bądź osobno, bądź w zbiorowych edycjach z których ostatnia kompletna ukazała się w Żytomierzu w 1860 roku. Do najcenniejszych poetycznych utworów zmarłego należy poemat „Starosta Kaniowski.” W prozie Groza odznaczył się też najzajawniejszymi dążnościami. Oprócz pism zbiorowych: „Rusałka” 1838—42 i „Grosz wdowi” w r. 1849—1850, wydał nadto między innemi Elementarze, mniejszy i większy i oddzielnie Elementarzyk (Żytomierz, 1860); — „Hryć,” dramat ukraiński w 5-ciu aktach; „Mozajka kontraktowa;” „Obrazki ukraińskie;” „Ołtarzyk berdyczowski;” powieść „Trzy palmy.” Pamiętnik niebardzo stary; Powieści ludu i dumy, „Starosta Kaniowski;” powieść Smieciński, Władysław, wyciąg z pamiętników, 2 tomy. Twardowski, misteryjum z podań w dwóch częściach (Brody, 1873) było ostatniem dziełem własnem zmarłego. Cześć zacnej jego pamięci.

* * *

Kiedy o zmarłych mowa, należy nam również uczcić pamięć znanego powszechnie i szanowanego artysty malarza Wojciecha Kornelego Stattlera, który w dniu 6 b. m. dokonał pożytecznego żywota w Warszawie. S. p. Stattler do roku 1856 był profesorem malarstwa w uniwersytecie Jagiellońskim i w szkole sztuk pięknych w Krakowie, a od roku 1862 stale jako emeryt w mieście naszym przemieszkiwał. Malarstwo religijne było głównym jego rodzajem, a siedł w niem za wzorami mistrzów włoskich, na których przez lat kilka kształcił się był w Rzy-

mie. Oprócz obrazów Najświętszej Panny; Chrystusa, Świętej Rodziny, do większych prac zmarłego należą Abel i Kain, Mojżesz na Synaju. S. p. Stattler pisał też dosyć o sztuce i o szkołach malarstwa.

* * *

Aby przyjść w pomoc młodzieży przygotowującej się do zawodu handlowego, zwierzchność szkoły handlowej prywatnej w Warszawie, ogłasza konkurs na napisanie w języku polskim, dzieła obejmującego wszelkie formy i wzory korespondencji handlowych, zaczawszy od najprostszych zawiadomień aż do cyrkularzy i poleceń w złożonych interesach handlowych, bankierskich i towarowych. Jako wzór podobnej pracy przytoczyć można dzieła Schiebeggo, Porgesa, Keila i t. p.

Termin ostateczny nadsyłania rękopisów naznacza się na 1-go maja 1876 roku. Rękopisma obejmujące od 20—25 arkuszy druku, składane być mają pod adresem szkoły handlowej prywatnej w Warszawie, ulica Nowy Świat Nr. 49, lub na ręce dyrektora szkoły p. Stanisława Przysańskiego.

Zgodnie z przyjętymi zasadami konkursów, rękopisy winny być opatrzone takąż samą dewizą, jaka znajdować się będzie na kopercie obejmującej imię, nazwisko i miejsce zamieszkania autora. Autorowi dzieła uznanego przez zaproszonych do tego specjalistów za najodpowiedniejsze, wypłaconą będzie niezwłocznie kwota rs. 300, a dzieło kosztem szkoły wydrukowanem zostanie. W czasie druku dla uniknięcia omyłek, korekta należeć będzie do autora. Po wydaniu uwieńczonej pracy, szkoła handlowa prywatna zatrzyma na swą korzyść 900 egzemplarzy, posprzedaniu których pozostałe 600 egzemplarzy z całego nakładu, jakoteż prawo do następnych wydań, stanowiąc będą własność autora nagrodzonej pracy.

* * *

Liczbę pism prowincjonalnych zwiększyć jeszcze od przyszłego Nowego Roku, *Korespondent Płocki*.

* * *

Od jednego z nauczycieli prywatnych otrzymaliśmy list następujący:

Szanowny Redaktorze!

Warszawa liczy kilkanaście mniej lub więcej *renomowanych* ognisk, gdzie się schodzą pracodawcy i pracujący w zawodzie nauczycielstwa, czyli inaczej mówiąc posiada kilkanaście kantorów stręczeń nauczycieli, nauczycielek, guwernerów, bon i guwernantek. Kantory te pobierają zwykle grube procenta tak od strony dającej jak i przyjmującej pracę; ani zaś jednej ani drugiej stronie nie dają najmniejszej rękoi, przeciwnie narażają rodziców zwłaszcza i opiekunów, na ciężkie nieraz zawody i straty. Nie będę przytaczać zawodów zanadto dobrze znanych każdemu kto przez kantory o jakich mowa poszukiwał osób do pomocy w wychowaniu dzieci, chcę tylko uczynić wzmiankę o nowym *sposobie* pośrednictwa, używanym przez niektóre podobne zakłady. Sposób ten polega na wywiadywaniu się ubocznymi drogami, o osobach poszukujących nauczycielek lub nauczycieli i posyłaniu tam ostatnich na chybił trafił, bez ich ma się rozumieć o tem wiedzy, celem otrzymania następnie, jeżeli sztuczka się uda, wy-

nagrodzenia. Kroki tak hazardowne (nawiasem mówiąc doświadczyłem tego na sobie) narażają interesowane osoby na nowe nieprzyjemności i kompromitacje, liczna tymczasem rzesza poszukujących pracy nauczycielskiej potrzebuje gwałtownie uczciwych środków pośrednictwa. W skutek tego ośmielam się prosić szanownego pana o rzucenie w swem piśmie myśli, iż pożądaną byłoby rzecz, aby biuro dla szukających pracy p. Kosuta, otworzyło u siebie oddział pedagogiczny.

Obecne kantory stręczeń niech pozostaną targowiskiem dla zagranicznego towaru, bo ta funkcja zresztą najbardziej jest dla nich pożyteczną i popłatną.

— A gdzie to kuma idzie?

— Lecę po cukier do *Merkurowej*.

— Zamknęto, przecież to niedziela!

— A, prawda, trza iść do *Szumulowej*.

Za komentarz do tego urywku rozmowy podsłuchanej mimochodem, posłużył mi pobliższy sztyl sklepu spożywczego stowarzyszenia, w którym jak mi wiadomo sprzedają zajmują się kobieta.

Takie to są pojęcia ludu warszawskiego, a nawet oświecanych warstw ludności naszej o tej instytucji tak pożytecznej, a tak niedołącznie rozwijającej się. Prassa temi czasami uczuła się w obowiązku, wylać nad nią potok ogólników i rad, podobnych do owych konsultacji jakich nieszczędną życzliwi znajomi dla niedomagającego przyjaciela. Rady, narzekania i wymówki sypią się przy każdym ogłoszeniu sprawozdania z czynności „*Merkurego*,” mimo to jednak instytucja zamiast rozwijać się, mdleje.

Nie ludźmy się, inaczej stać nie może to, co przeszczepione zostało na grunt nieusposobiony, co niewyrośliło z gruntu potrzeb miejscowych i nie funkcjonuje w właściwym kierunku.

Naszym zdaniem „*Merkury*” nie rozwinię się nigdy według miary Rochdalskiego pomysłu, dopóki będzie niepopularną instytucją sztucznym płodem dobrych chęci założycieli.

Rzemieślnicy i robotnicy nasi widzą w „*Merkurym*” prosty sklep *nie żydowski* więc niesympatyczny, i nie więcej; pierwszy lepszy sklepik ma nad nim przewagę, bo tam znajdzie się wszystko czego potrzeba dla robotnika, bo tam jest kredyt....

Nie kusząc się o dawanie rady stowarzyszeniu, pragniemy, aby jego cel i środki jawne stały się dla jak najszerszego ogółu, pragniemy aby w zbliżającej się porze odczytów rzemieślniczych, podniesiono tę kwestyję w sposób jak najprzystępniejszy i jak najbardziej przekonywający.

Czytelnicy przypomną sobie może, jak przy końcu 1873 roku pierwsi podnieśliśmy w szpaltach „*Opiekuna*” niezmiernie ważną kwestyję „bliźszego zapoznania się z krajem.” Wykazaliśmy tam pokrótce niedostateczność a nawet bezowocność tych wiadomości, jakich nabierać możemy z naszych podręczników geograficznych i usiłowaliśmy przekonać wszystkich spółobywateli o nieodwołalnej potrzebie dokładnego opisu pod względem jego bogactw i środków zużytkowania ich. Obecnie w N. 249 „*Gazety Polskiej*” spotykamy tę samą

myśl kilku rozumowaniami i kilku cyframi popartą. Ciesząc się, że po *dwu latach* przynajmniej głos nasz znalazł *echo* piśmienne, przyklaskujemy mu z głębi serca i życzymy zarazem, ażeby je ominął los do naszego podobny. Chcąc zaś dopomóc przypadkowi który jak się zdaje, wszystkim u nas rządzi, i rozszerzyć wiadomość o tem echu spóźnionem przytaczamy z niego ustęp, który za najważniejszy uważamy. „Jedyna racjonalna metoda, czytamy tu, pisanie ekonomicznych recept polega na trzech operacjach. Należy naprzód dokłądnie przedstawić to, co jest złem u nas lub czego nam brakuje, należy powtórnie wskazać, jakim sposobem inne, a szczególnie też bardziej do nas podobne społeczeństwa, złe to usuwają lub usunęły; a wreszcie wytłómaczyć na jakich drogach środki wyprobowane gdzieindziej zastosować się dadzą u nas. Widocznie, że owa trzecia operacja wesprzeć się musi na dwu pierwszych, a przedewszystkiem na *znajomości kraju własnego*; u nas jednak, niestety, wyskakuje zwykle samodzielnie, jak Minerwa z głowy Jowiszowej.” Niezależnie od tego natychmiastowego poparcia, postaramy się raz jeszcze przemówić do społeczeństwa, ażeby samo siebie poznało; a tymczasem zwracamy się do zarządu „szkoły handlowej” warszawskiej, ażeby drogą konkursu zechciał powołać do życia *statystyczny opis kraju* z którego i dla własnej instytucji niezmiernie skorzystałby mógł. A jakżeby wielką, jak drogocenną oddałby przysługę wszystkim kraju naszego obywatelom, którzy bez takiego przewodnika zawsze poomacku tylko błądzić będą musieli.

FANTAZYJA D^{ra} OX

przez

Juliusza Verne.

(ciąg dalszy)

V.

W którym mówi się naprzód o wizycie jaką burmistrz i radny idą złożyć doktorowi Ox a następnie o tem co po tej wizycie nastąpiło.

Radny Niklausse i burmistrz van Tricasse poznali na koniec co to jest przebyć noc niepokojnie. Ważne wypadki jakie zaszły w domu doktora Ox narażyły ich na bezsenność. Jakież ztąd wynikną następstwa, tego nie byli w stanie przewidzieć. Czy należało co zdecydować w tem przedmiocie? Czy władza municypalna przedstawiana przez nich potrzebowała wdać się w tę sprawę? Czy nie nakazać aresztowania, aby podobny skandal nie powtórzył się więcej?

Te oto wątpliwości zaprzątały poważne głowy przodowników miasta. Tak więc jak to dawniej było w zwyczaju, dwie znakomitości przed rozejściem się postanowiły widzieć się z sobą dnia następnego.

Nazajutrz zatem przed obiadem burmistrz van Tricasse we własnej swojej osobie udał się do radnego Niklaussa, ale zastał go znacznie już spokojniejszym, zaczął więc pierwszy rozmowę o tym drażliwym przedmiocie.

— A co, nie nowego... zapytał.

— Nie jak dotąd, odpowiedział mu Niklausse.

— A doktor Dominik Custos!

— Nie słyszałem nic o nim, tylko pletą coś o adwokacie Andrzeju Schucie.

Po dwugodzinnej rozmowie, którą można by w dwu wierszach określić ale której powtarzać nie warto, pan radny z panem burmistrzem postanowili odwiedzić doktora Oxa i tam nieznanie chwytając jakiego języka. Wbrew zwyczajowi znakomitości uznały za właściwe wykonać niezwłocznie to postanowienie, wyruszyli więc i udali się w stronę fabryki gazu doktora Ox, położonej za miastem, w niewielkiej odległości od owej bramy Audenardu, której wieża zawaleniem groziła.

Burmistrz i radny nie prowadzili się pod rękę ale postępowali *passibus aequis* krokiem powolnym i uroczystym, robiąc zaledwie trzynastą cali na sekundę. Nie było w tem nic dziwnego, był to bowiem zwykły chód mieszkańców Quiquendoneu.

Od czasu do czasu przy zbiegu ulic lub na spokojnym rogu której z nich, dwaj dygnitarze zatrzymywali się na chwilę, aby się odkłonić przechodniom.

— Dzień dobry panie burmistrzu, odzywał się ktoś.

— Dzień dobry, przyjacielu, odpowiadał mu na to van Tricasse.

— Czy nie ma tam co nowego panie radny, zapytał drugi.

— Nie Bogu dzięki, odpowiadał pan Niklausse.

Atoli po zdziwionych jakichś minach, po niepokojnych spojrzeniach pytających można się było domyślić, że o niefortunnym zajściu dobrze już w mieście wiedzano. Z kierunku zresztą drogi w jakim pan van Tricasse postępowował najtępszy nawet z mieszkańców Quiquendoneu przeczuwał że dostojny zwierzechnik miasta szedł spełnić jakąś ważną powinność. Zajście Custosa i Schuta zaprzątało wszystkie umysły, dotąd jednak nie potworzyły się jeszcze stronnictwa na korzyść jednego lub drugiego. Adwokat i doktor były to osobistości zarówno szanowane w mieście. Adwokat nie miał wprawdzie jeszcze sposobności stawania przed krakami, bo w Quiquendone strony skarżące i skarżone w tradycyi tylko istniały; ale za to nigdy też sprawy nie przegrał. Doktor był to znowu praktyk czcigodny, który za przykładem współkolegów swoich leczył pacjentów ze wszystkich chorób, wyjąwszy jedną na którą się umiera. Wadliwy to może obyczaj, ale co robić skoro przyjęty przez fakultety medyczne wszystkich bez wyjątku krajów.

Przybywszy do bramy Audenardu radny i burmistrz zboczyli nieco na prawo nie chcąc zanadto zaufać wieży, a następnie popatrzyli na nią uważnie.

— Runie, rzekł van Tricasse.

— Runie, odpowiedział Niklausse.

— Żeby ją jeszcze podstępować, dodał van Tricasse, ale w tem sęk czyż jąstępować wypada?

— Właśnie że sęk, odpowiedział Niklausse poważnie.

W kilka potem minut, deputaci przybyli pode drzwi fabryki gazowej.

— Czy się można z doktorem Ox zobaczyć, zapytali jakiegoś czelczyzny.

— Doktor Ox zawsze jest na usługi dla tak dostojnych gości, odpowiedziano im na to i poprowadzono do gabinetu sławnego fizjologa. Wyczekawszy się z dobrą godzinę zobaczyli nareszcie doktora a zjawił się w samą porę, pan van Tricasse bowiem, co mu się nigdy dotąd w życiu nieprzytrafiło, okazał pewien rodzaj zniecierpliwienia.

Doktor Ox tłumaczył się przedewszystkiem że przetrzymał panów niegrzecznie, ale musiał pozamykać gazometry i poprawić niektóre niecierpiące zwłoki niedokładności.... Następnie dodał że rura przeznaczona do odpływu tlenu jest już założoną, zaczem w ciągu kilku najdalej miesięcy otrzyma miasto najdoskonalsze oświetlenie. Dwaj dygnitarze miasta mogli już nawet obejrzeć zresztą otwory rur które napełniały się w gabinecie doktora.

— Jakiemu, rzekł potem wszystkiemu doktor, jakiemuż szczęśliwemu zdarzeniu przypisać mam zaszczyt przyjmowania dziś w domu swoim, tak wysokich gości?..

— Ot tak poprostu chcieliśmy odwiedzić kochanego doktora, odpowiedział van Tricasse; bo dawno już przecie nie mieliśmy tej przyjemności. Wychodzimy zazwyczaj bardzo mało, bo nie lubimy naprzykrzać się nikomu, i prawdziwie jesteśmy szczęśliwi gdy żaden wypadek nie przerwie nam zatrudnień naszych.

Niklausse spojrzał przenikliwie na przyjaciela, nigdy bo nie miał on zwyczaju rozprawiać tak długo i to bez najmniejszego przestanku. Zdawało mu się, że van Tricasse wyraża się z pewną szybkością wcale mu niewłaściwą, i sam poczuł niepowstrzymaną chęć wmieszania się do rozmowy.

Co do doktora Ox, ten patrzył ciągle na burmistrza swoim złośliwym bazyliżkowatym wzrokiem.

Van Tricasse, który się nigdy nie odezwał dopóki się nie usadowił wygodnie w fotelu, stojący mówił tym razem. Skąd się do licha wzięła w nim taka werwa wręcz przeciwna jego temperamentowi?.. Dotąd nie gestykulował jeszcze, ale i do tego niewiele już brakowało. Radny zacierał dłonie i oddychał gwałtownie. Jego spojrzenie ożywiało się też powoli i myślał nawet poprzeć już burmistrza jeżeli okaże się tego potrzeba.

Van Tricasse postąpił o parę kroków a następnie cofnął się i zasiadł naprzeciwko doktora.

— Więc w jakim ostatecznie czasie, zapytał głosem dobitnym, za ile na przykład miesięcy jesteś pan w stanie ukończyć te swoje prace?

— Za trzy lub najdalej za cztery miesiące panie burmistrzu, odpowiedział doktor Ox na to.

— Za trzy lub cztery miesiące, to trochę za długo, odpowiedział van Tricasse.

— Tak, tak, to za długo, zawtórował Niklausse i podniósł się także.

— Z tem wszystkiemu potrzeba nam tyle czasu dla ukończenia robót, odpowiedział doktor. Robotnicy tutejsi wcale nie są wprawni..

— Jakto nie wprawni! zawołał burmistrz biorący jak się zdawało słowa te za jakiś docinek dla siebie.

— Wierz mi pan panie burmistrzu, powtórzył doktor Ox, robotnik francuski robi w jednym dniu więcej jak tutejszych dziesięciu; wszakże pan wiesz że to czystej krwi Flamandowie!

— Więc cóż ze Flamandowie! wrzasnął radny Niklausse. W jakim pan to znaczeniu mówisz.

— W znaczeniu znanem dobrze całemu światu, odparł śmiejąc się doktor.

— Co do mnie łaskawy panie, mówił sapiąc burmistrz, proszę wiedzieć że nie lubię przemówek ani docinków. Robotnicy z Quiquendone, chciej pan wiedzieć o tem tyle są wari, co jacykolwiek inni i nie myślę dla czyjejs tam fanaberyi sprowadzać im na model wzorów z Paryża lub Londynu! Co zaś do robót o jakich mowa, proszę pośpieszyć z niemi. Brak na ulicach wytamano dla założenia rur gazowych a to szkodzi komunikacji. Handlujący skarżą się bardzo a ja jako administrator i za wszystko odpowiedzialny, nie potrafię się usprawiedliwić z zarzutów najsłuszniej czynionych.

— Wybornie panie burmistrzu powiedziałeś o handlu i komunikacji, dodał Niklausse, ale i to prawda że miasto nie może pozostać dłużej bez należytego oświetlenia.

— Miasto, dorzucił doktor, które na to oczekuje już 800 czy 900 lat bodaj.

— Tem spieszniej go więc potrzebuje, odrzekł burmistrz, kładąc nacisk na każdą sylabę.

Inne dziś czasy i inne obyczaje! Postęp tego wymaga a my wcale nie mamy ochoty pozostać w tyle! W ciągu jednego miesiąca ulice muszą być oświetlone, inaczej zapłacisz pan karę za każdy dzień spóźnienia! A co będzie jeśli korzystając z ciemności robi kto jaką awanturę.

— Bez wątpienia, zawołał Niklausse, iskiereki tylko potrzeba aby wzburzyć Flamanda. Flamandowie to ogień!

— Ale, ale, rzekł burmistrz przerywając przyjacielowi, naczelnik policyi municypalnej komisarz Passauf doniósł nam, iż jakaś dyskusja miała wczoraj wieczorem miejsce w pańskim salonie. Czy prawda że to była jakaś kwestycja polityczna?

— W istocie panie burmistrzu, odrzekł doktor Ox, który nie tał już objawów swego zadowolenia.

— A czy zaszła jaka sprzeczka pomiędzy doktorem Dominikiem Custos i adwokatem Andrzejem Schut...?

— Tak jest panie burmistrzu, przymówki wszakże jakie były, były bez znaczenia.

— Bez znaczenia, zawołał burmistrz, więc to jest bez znaczenia, gdy się powie komu drugiemu, że nie umie miarkować swych wyrażań! Czyż pan nie wiesz że w mieście Quiquendone wcale nie wiele potrzeba aby katastrofę sprowadzić? Cóżby się stało mój panie, gdybyś pan albo kto inny pozwalał sobie odzywać się do mnie w ten sposób?..

— Albo do mnie!... dodał radny Niklausse w tej chwili. Wymawiając te słowa tonem groźby dwaj dygnitarze z zaciśniętymi pięściami i najeżonymi czuprynami posunęli się naprzeciw doktora Ox, gotowi mu wyrzucić imperytynencyją gdyby gestem albo nawet samem spojrzeniem tylko ośmielił się im zaprzeczyć.

Ale doktor okiem nawet nie mrugnął..

— W każdym razie, dodał burmistrz, jestem pan odpowiedzialnym za wszystko co się dzieje w pańskim domu. Powierzono mi czuwać nad spokojnością tego miasta, nie życzę więc sobie aby była zakłócaną. Jeśli wypadki które miały miejsce powtórzą się raz jeszcze, spełnię moję powinność. Czy pan mnie zrozumiałeś? proszę mi na to odpowiedzieć mój panie!

Rozgniewany van Tricasse krzychał że go zapewne na ulicy słyhać było, a podrażniony że doktor nie odpowiada na jego pytania:

— Chodź panie Niklausse, zawołał zamykając drzwi z taką gwałtownością że zatrzęsł całym budynkiem, i pociągnął za sobą radnego.

Uszedłszy około dwudziestu kroków dygnitarze uspokoili się. Chód ich zwolnił, zapal ostrygł, rumieniec z twarzy zniknął, z czerwonych stali się bledzi.

W kwadrans zaś po opuszczeniu fabryki gazu, van Tricasse odezwał się do radnego Niklausse.

— Ten doktor Ox to bardzo miły człowiek, co do mnie widzę go zawsze z prawdziwą przyjemnością.

VI.

W którym Franciszek Niklausse i Suzel Tricasse tworzą projekta przyszłości.

Czytelnicy wiedzą już że pan burmistrz miał córkę pannę Suzel, ale najdomyslniejszy z nich nie odgadł, że radny Niklausse miał syna Franciszka. Choćby zresztą trafił się ktoś tak sprytny, to nie go dotąd nie upoważniło do przypuszczeń, iż pan Franciszek jest narzeczoną panny Suzel. Młodzi ci ludzie byli jakby dla siebie stworzeni i kochali się tak jak się kochają w Quiquendone.

Stąd wszakże wnosić nie można, iżby młode serca nie były gorąco w tej osobliwej miejscowości. Nie, tak źle znowu nie jest. Żenią się tu jak we wszystkich innych miastach całego świata, ale biorą się do tego pomału i uważnie. Przyszli małżonkowie studyjują się tu przedewszystkiem wzajemnie przez lat przynajmniej dziesięć.

Dziesięć lat czyż to tak wiele, gdy idzie o ważną sprawę, o połączenie się na całe życie? Uczyć się potrzeba lat dziesięć aby zostać inżynierem, doktorem, adwokatem albo radcą prefektury, a czyż dla nabycia wiadomości na męża nie potrzeba się wielu bardzo rzeczy nauczyć? Mieszkańcy Quiquendone'u mają zatem słusność iż się badają tak długo i gdy słyszą jak gdzieindziej sprawy matrymonijalne układają się w ciągu kilku miesięcy, mówią o tem z politowaniem wzruszając ramionami. Był wypadek iż przed pięćdziesięciu laty trafiło się w Quiquendone małżeństwo po dwóch latach znajomości zawarte, ale też z tego pośpiechu wyniknęły następstwa.

Franciszek Niklausse kochał Suzel van Tricasse wiedząc iż ma jeszcze dziesięć lat na to, aby osiąść przedmiot ukochany. Raz na tydzień o jednej i tej samej godzinie odwiedzają Suzel szli razem na przechadzkę nad rzekę Vaar, on z wędką na ryby ona z kanwą do haftu na której pięknymi paluszkami prześliczne wyrabiała rzeczy.

Potrzeba tu nadmienić iż Franciszek miał

lat 22, ładne oczy, ładne wąsiki i głos sympatyczny.

Suzel była blondynką, lat 17 i pasyjami lubiła się patrzeć na łowienie ryb na wędkę. Nie osobiwa to zabawka ale lubił ją młody Niklausse, bo się z jego usposobieniem zgadzała. Cierpliwy jak wół patrzył wzrokiem nieco rozmarzonym na *wabik*, pływający na powierzchni wody, a gdy po dziesięciogodzinnem wyczekiwaniu wyciągnął małą płoczykę był już zadowolonym zupełnie.

Dnia o którym mowa przyszli małżonkowie, właściwiej zaś państwo narzeczeni, siedząc na brzegu zabawiali się jak zwykle. Suzel haftowała, Franciszek zarzucał wędkę to na prawo to na lewo a płotki krążyły w wodzie wymijając haczyk starannie.

— Zdaje mi się że „bierze“, odzywał się niekiedy Franciszek do młodej dziewczyny, nie patrząc na nią jednak wcale.

— Czyż tak? odpowiadała Suzel zaprzestając na chwilę haftu i wlepiając spojrzenie w wędkę narzeczonego.

— Na nie się zdało, mówił następnie Franciszek, omyliłem się widocznie.

— No, no, to teraz bierze na pewno, mówiła Suzel swoim czystym i miłym głosem, tylko uważaj i wytrzymaj jak się należy. Zawsze się pośpieszysz o kilka sekund i sam zawsze wszystko popsujesz.

— To może mię wyręczysz Suzel, daj mi więc kanwę spróbuję czy się umiem sprawić przy igle.

I młoda dziewczyna brała wędkę drżącą ręką a młody chłopak zaczynał przesuwac igłę po maleńkich oczkach kanwy. I tak otóż całemi godzinami gruchali sobie szczęśliwi a serca ich uderzały silniej, jak tylko spławik wędki poruszył się silniej na wodzie.

Słońce miało się ku zachodowi, ale pomimo potężnych usiłowań panny Suzel i pana Franciszka ani jednej płotki wziąć się nie dało.

— Będziemy szczęśliwsi innym razem, pocieszała Suzel, gdy młody rybak związał przyrząd rybacki.

— Nie trzeba nigdy tracić nadziei, odpowiadał na to Franciszek, i zabierali się do powrotu w najgłębszym milczeniu.

Skoro stanęli na progu domu burmistrza, Franciszek rzekł do narzeczonej:

— Ale to Suzel zbliża się nasz dzień uroczysty.

— A wiem o tem Franciszku, odpowiedziała panna Tricasse i spuściła oczki na dół.

— To już za sześć lat niespełna.....

— Do widzenia, przerwała zakłopotana Suzel, i gdy drzwi za sobą zamknęła, syn radnego krokiem równym i spokojnym wracał pod dach ojcowski.

c. d. n.

BIBLIOTECZKA DOMOWA.

Kilka idei. Tragikomedya z dawnej przeszłości, pióra F. M. Eysymonta. Nakładem autora. Kraków. 1875. str. 75.

P. Eysymont stara się w przedmowie uprzedzić nieubłaganych krytyków i usprawiedliwić w oczach czytelników błędy swego utworu, które już sam, jak się zdaje, dostrzegać zaczął. Święta to zaiste była chwila i warto było po-

sluchać jej natchnień. P. E. postąpił inaczej i zbłądził. Zdawało mu się, że w swojej tragicomedyi przeprowadzi *walkę idei* a roztoczył przed czytelnikami szereg obrazków z *niedawnej* prawdopodobnie historii, która w niczem ich zainteresować nie zdoła. Mój Boże! w przedmowie poeta taki wzniosły, taki poświęcony dla idei; a w samym utworze... jakżeby tu powiedzieć?... taki namiętny obrońca miłości własnej... Zamiast napisać „walkę idei“ przedstawił walkę dwu osobistości (siebie i kogoś drugiego) a *propos* jakiegoś wydanictwa, o którym historia literatury może i nie wspomni. Niebezpiecznie to drapać się w togę Katona, kiedy w sercu wrą mrówcze uczucia i namiętności! Ani byśmy nie wiedzieli o tej słabej stronie duszy poetyckiej, gdyby nie „Walka idei“ poświęcona znakomitościom i drobiazgowi ukraińskiemu. Gdyby nie ta walka, ten i ów ceniliby w panu E. autora „Odgłosów z Polesia“, „Poeci w życiu“, ale do tej oceny nie przymieszaliby się ten kwas zawiści, rozlanej w tragicomedyi względem Maryi Szeligi, Ordona, różnych korespondentów, poetów i niepoetów. Może w skargach p. E. jest i racja, może istotnie został ukrzywdzony; ale niepodobna nagrodzić krzywdy elukubracją, w której tyle tylko poezji, ile miłości w procesowiczu. Złą drogę obrał poeta do nieśmiertelności, pamflet poetyczny udaje się (i to czasami tylko) geniuszom jedynie. Miałżeby autor pretensyj?

Ale dosyć o tej „Walce idei.“ Nie wspominalibyśmy nawet o niej, gdyby się nie ukazywała w zwodniczej szacie, w owczej skórze. Tak jak jest, przedstawia się nader smutnie, będąc objawem zwichniętego poglądu na poezję i na literacką przyzwoitość. „Walka idei“ ilustrowana w imiona Pługa, Dołęgi Benedykta, Aleksandra Grozy i t. d. może nieświadomego rzeczy czytelnika w błąd wprowadzić, nasuwając mu myśl, że to sprawa piękna, święta. Nie łudźcie się, czytelnicy, to zwyczajny, powszedni grzech poetyczny, którego łatwo było nie popełnić.... P. Ch.

Aleksander Tyszyński: Wizerunki Polskie. Zbiór szkiców literackich. Warszawa, 1875 str. 302.

Znany zaszczytnie z prac swoich krytycznych p. Tyszyński zebrał w jedną wiązaną kilka szkiców z historii literatury polskiej, które dawniej jako osobne artykuły w paru naszych czasopismach ogłaszał. Znajdujemy tu następne wizerunki: 1) Wincenty Kadłubek jako pisarz; 2) Marcin Bielski, najdawniejszy prozaik polski; 3) Wizerunek, poemat z roku 1558 Mikołaja Reja; 4) Symonowicz i jego sielanki; 5) Szymon Starowolski; 6) Elżbieta Drużbacka; 7) Komedyja polska w XVIII wieku; 8) Ludwik Kondratowicz i jego poezye i 9) Wincenty Pol. O artykule „Ludwik Kondratowicz i jego poezye“ pisaliśmy już wówczas, kiedy się w „Bibliotece Warszawskiej“ pojawił; o innych to w ogólności powiedzieć można, że się odznaczają sumieniem i prawdziwie naukowem opracowaniem.

Głównym w nich brakiem jest to, że każdego pisarza traktuje p. Tyszyński tylko jako

jednostkę mniej lub więcej samoistną, nie zaś jako syna epoki, w której żył i działał. Stąd wizerunki tych poetów są jedynie portretami oderwanymi, nie powiązanymi ze sobą; nie stanowią galerii czy albumu. Nie przeczymy, że i takie portretowanie ma wielką wartość; zdaje się nam jednak, że malarstwo historyczne wyżej od niego stoi i większy wpływ na widzów wywiera.

P. Ch.

GOSPODARSTWO

I PRZEMYSŁ DOMOWY.

Wypasanie kur i kapłonów w ciągu 5 do 8 dni skutecznia się szybko w sposób następujący: Przeznaczone na opas sztuki, umieszcza się dwiestopy po nad ziemią w kojcu z dnem wysuwaniem tak, aby codziennie mogło być oczyszczane i posypywane suchym popiołem drzewnym. Za pokarm daje się zbierane mleko i na każdą sztukę przeznaczają się stołową łyżkę ryżu, gotowanego z węglanem sody. Oprócz tego podaje się dwa razy dziennie świeżą wodę za napój w czystym naczyniu. Korytka w których podaje się jedzenie, powinny być kamienne albo gliniane, gdyż takowe prędzej dają się utrzymać w czystości i nie zakwaszają się tak łatwo jak drewniane. Karmiony drób w ten sposób, wypasa się zupełnie w 5 do 8 dni, a przytem mięso jest delikatne, białe i nadzwyczaj smaczne. Żaden inny sposób postępowania nie ma zapewniać tak szybkiego wypasienia i takiej smakowitości mięsa.

G. R.

Środek przeciw oparzeliznie. W czasie bombardowania Paryża, zarząd miasta przewidując liczne mogące się wydarzyć oparzenia, podał do wiadomości mieszkańców rozmaite środki gojące, z których najlepszem się okazało mydło oliwno-wapienne (*Savon oléocalcaire*). Mydło to jest wółpłynne a nie maziste. Przyczadza się zaś kłócąc z sobą razem wapienne mleko ze zwyczajną byle nie zjeżdżającą oliwą. Po ustaniu się tej mieszaniny, nadmiar wapna na dół opada, a ustały płyn posiada własności leczące oparzeliznę. Posmarowana tem mydłem część ciała oparzeniem dotknięta, natychmiast przestaje boleć, bąble się nie robią, tylko spalona skóra potem opada. Płyn daje się przechowywać długo w zatkanych szczelnie butelkach, a jest najskuteczniejszym ze wszystkich, podawanych dotąd środków na oparzeliznę.

ROZMAITOŚCI.

— Lwów od czasu zrobienia go środkowem ogniskiem krajowego ruchu, podnosić się i rozwijać zaczyna. Gdzie okiem rzucisz wznoszą się nowe budowle i co rok przybywają coraz więcej. Mimo to mieszkania nie tanieją i prawie tak są drogie jak w Warszawie. Pod względem umysłowym, Lwów też nie drzemie. Trupia martwota, jaka owładnęła Galicyją, ustępować zaczyna teraz ruchowi we wszystkich częściach kraju. We Lwowie i na prowincyi wychodzi pism kilkanaście, a miejscowe firmy

księgarskie zasypują publiczność polskimi książkami. Największą zasługą w tym względzie należy księgarni Gubrynowicza, choć i nowa księgarnia polska (ulica Kopernika), przez wydawanie w przekładzie dzieł powszechnych Szlossera w 16 tomach, pracuje na dobrą opinię u ogółu. Księgarnia Gubrynowicza zasłużyła się przez toprowiny swęj bardzo, iż od lat kilku wydaje Bibliotekę najcenniejszych romansów. Gdzieindziej na wydawnictwo takienikt nie zwracałby uwagi, ale w Galicyi ma ono znaczenie wielkie, gdyż przy jego pomocy zdołano wyrugować z czytelników miejscowych stosy romansideł niemieckich i francuskich.

— W Rymanowie galicyjskim, hrabina Potocka założyła w r. 1874 szkołę dla dzieci włościańskich, gdzie uczą się rzeźby na drzewie. Założycielka miała na widoku biednej górskiej ludności dostarczyć zarobek, nieodrywający od domu i rodziny i uwalniający od konieczności włożenia się po świecie za kawałkiem chleba. Pod kierownictwem wykwalifikowanego rzeźbiarza, dzieci za pomocą najprostszynarzędzi wyrabiają począwszy od łyżek i krzyżków aż do przedmiotów wkraczających w granice artyzmu, dzięki gustowi i wykończeniu. Na wystawie ostatniej w Stanisławowie znajdowało się wiele ramek rzeźbionych rozmaitego formatu, kropielniczek, katarzów, postumentów zdobnych w liście, kwiaty, owoce, a nawet figury, świadczących tak o smaku dostarczających modele, jak i o zdolnościach wykonawców. Dzieci zajmują się tem albo w domu albo na pastwisku i zarabiają od 12 do 37 1/2 kopiejek dziennie. Powoli te wyroby są nabywane przez właścicieli większych sklepów galanteryjnych w Galicyi i z czasem mogą zastąpić wyroby niemieckie, droższe i bynajmniej nie lepsze. Każdy uczeń płaci miesięcznie 10 guldenów z utrzymaniem (około 6 1/2 rubla), a po skończeniu nauki trwającej 3 do 6 miesięcy, 5 guldenów dla nauczyciela. Z wiosną ma być zaprowadzona w Rymanowie szkoła wyrobu koronek dla dziewcząt.

— Pismo krytyczne „Sztuki piękne“ wychodzące w Berlinie, z entuzjazmem mówi o obrazie Matejki „Kazanie Skargi“ znajdującym się w sztychu na wystawie sztuk pięknych w Berlinie. Rzeczono pismo oddając zasłużone pochwały tej kopii nadmieniam, że 6 tylko egzemplarzy poświęcone jest sprzedaży po poprzednim wystawieniu ich na widok publiczny w salach wystaw sztuk pięknych w Berlinie, Paryżu, Londynie i Warszawie.

— „Ruski mir“ pisze że niektóre zebrania gminne powiatu petersburskiego powzięły postanowienie ściągania kar pieniężnych od rodziców za nieposyłanie dzieci do szkół. Kary te mają być obracane w części na korzyść szkoły, a mianowicie na nabywanie książek dla bibliotek szkolnych, a w części na powiększenie utrzymania nauczycieli wiejskich.

— Jakiś włościanin ze wsi Prisztiny (w Starej Serbii) wyorał koronę szczerozłotą, wyasadzaną mnóstwem kosztownych kamieni, z napisami z historii serbskiej. Jestto korona najpotężniejszego niegdyś z królów serbskich Duszana Silnego a która przez kilka wieków spoczywała zakopana w ziemi. Korona ta dostała się mieszańcowi Białogrodu nazwiskiem Daniło Żywkowic, a ten za 9000 dukatów chce ją odstąpić na własność narodu.

— „Przegląd Katolicki“ warszawski podaje następujące szczegóły o sprzedajności dzienników niemieckich: „Żeby pozyskać opinię publiczną na korzyść swojej pożyczki tureckiej,

i złować dukatów w sidła, Anglobank rozesał grube łapowe 73 dziennikom, byle tylko zalecali jego papiery. „Neue Freie Presse“ otrzymała 25,000, „Presse“ tyleż, „Tagespresse“ 10,000 flor., „Wiener Tagblatt“ 32,000 flor., „Vorstadt Zeitung“ 16,000 flor. i t. d. Inne przedsiębiorstwo (Raten und Rentenbank) wydało na właścicieli gazet wiedeńskich ogółem 33,285 florenów, a mianowicie „Presse“ stara i nowa użyły po 3,500, „Fremdenblatt“ 1,500 i t. d. Innem źródłem obfitego zysku dla gazeciarzy są ogłoszenia. Speculanci uczciwi czy nieuczciwi, jeśli pragną zyskać pochwały w dziennikach, lub powstrzymać grad artykułów łączących ich przedsiębiorstwa, muszą opłacić się redakcyi. Według pieniężnej wartości ogłoszeń, określa się barwa finansowych i ekonomicznych artykułów w dzienniku. Co więcej redaktorowie często samiżadają od rozmaitych towarzystw akcyjnych, banków i t. p. aby umieszczano w ich dziennikach ogłoszenia płatne, w razie zaś nie nadesłania takowych, przesładują w swych pismach instytucje, które redakcyjom okupu złożyć nie chciały.“

— Stany Zjednoczone są obecne pod wrażeniem wiadomości o odkryciu bogatych pokładów złota na Alasce. Poborca celny w Sitka przysłał sekretarzowi skarbu w Washingtonie opis Alaski, skreślony przez praktycznie z tym przedmiotem obznajmionego poszukiwacza złota. Ten utrzymuje, że znalazł złoto w znacznej ilości, i że jego zdaniem Alaska posiada niezmierne pokłady tego drogiego metalu, słowem, że Alaska pod tym względem jest drugą Kaliforniją.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Janowi Niewęg... w Żytomierzu. Umieścić 14 letniego młodzieńca w jakim warsztacie rzemieślniczym nie będzie trudno w Warszawie. Za naukę i utrzymanie płaci się od 100 do 150 rs. rocznie, przytem wypada sobie zastrzedz posyłanie ucznia do szkoły rzemieślniczej niedzielnej. Osady Rolne są instytucją poprawczą dla małoletnich przestępców i na naukę rolnictwa nie będą przyjmować.

Przy zapisywaniu się do rzemiosła potrzebną jest metryka urodzenia. Przez pośrednictwo sprawa tyle ważna załatwić się nie da, trzeba wiedzieć co chłopiec umie, do czego ma zdolności i ochotę, najlepiej więc osobiście odwieść i ułokować.

Pani Maryi B. piszącej w imieniu 5-u czytelniczek. Najuprzejmiej dziękujemy paniom za uczucie i krytyczne uwagi. Z trafnych tych uwag chętnie skorzystamy, jak o tem wkrótce Szanowne panie przekonacie się same. Tylko właśnie przy takim współudziale czytelników może się pismo pożytecznie rozwijać, po omacku bowiem droga i nie pewna i długa. Polecamy Ogródnictwo powszechne czyli nauka zakładania ogrodów p. Czepińskiego z roku 1868 i 9. Cena rs. 4 i Sadownictwo Medicusa i Lucasa wyd. r. 1873 cena rs. 1 kop. 20.

Co się tyczy podręczników radziny: Historiją literatury powszechnej Scherra Jana z r. 1865, rs. 3. Historiją powszechną Wellera część I z r. 1865, część II z r. 1866 po kop. 50 (dzieje starożytne i średnie). Do wieków nowożytnych polecamy Duruya z roku 1869, rs. 1 kop. 20. Świat roślinny przez autorkę Wieczorów Czwartkowych, rs. 1 kop. 50. Chemiją Roscoe wydanie Redakcyi „Przyroda i Przemysł“ cena kop. 35 z r. 1873. Mällera Fizykę w streszczeniu opowiedzianą, przekład Stanisława Kramsztyka z atlasem, wydanie z r. 1872, cena rs. 1. Praktyczny wykład nauki gospodarstwa społecznego dla młodzieży Blocka, z r. 1873, kop. 40. Katechizm większy ks. Gorzelańskiego z r. 1874, kop. 45. Geografiję i Zoologiję wydaliśmy nakładem swoim, kosztują łącznie kop. 90.

Panu Fabijanowi Długob... w Elizawetgradzie. Wypisy Polskie, oraz Nr. 3 Opiekuna z r. b. posyłamy.

Panu X. X. Z. Artykuł: Historyczne znaczenie „liberum veto“ pomieścimy w pierwszych zaraz numerach roku przyszłego. Prosimy przytem pana o zgłoszenie się do Redakcyi w dniu 26 b. m. dla ostatecznego rozpatrzenia tej pracy na posiedzeniu redakcyi.

OGŁOSZENIA.

DZIEŁA WYDANE NAKŁADEM

drukarni

J. Korzeniowskiego.

ulica Śto-Jerska Nr. 12 nowy w Warszawie.

Dolinowski Ks. J. Pszczelnictwo praktyczne czyli chów pszczoł w ulu ramowym. Wyd. 2 (z 57 drzewor.) 1875, rsr. 1 kop. 20, z przesyłką rsr. 1 kop. 35.

Grajnert J. Bajki i przypowieści, 1874, kop. 25, z przesyłką kop. 30.

Leroy-Beaulieu P. Praca kobiet w XIX wieku. Dzieło uwiecznione przez francuską akademię nauk moralnych i politycznych. Przełożyła z francuskiego A. S. 1875, kop. 90, z przesyłką rsr. 1.

Nadwiślanin. Kalendarz dla miejskiego i wiejskiego ludu na rok 1876. kop. 15 z przesyłką kop. 20. Począwszy od tuzina za przesyłkę nie się nie płaci.

Majewski K. Wykład początków zasadniczych Rolnictwa, Historii naturalnej ziemianiskiej i ogrodnictwa, podług stanu oraz metody nauczania tych umiejętności w b. Inst. gosp. wiejsk. i leśn. w Marymoncie, zebrane i opracowane, tudzież dodatkami odpowiedniami uzupełnione. Tom I-szy Zasady Rolnictwa, z portretem Seweryna Zdzitowieckiego, z prenumeratą na 2-gi i 3-ci. rsr. 6, z przesyłką rsr. 6 kop. 60.

Pietraszek J. Mechanika popularna czyli podręcznik dla maszynistów i mechaników w ogólności tudzież dla gospodarzy wiejskich i do wykładów w szkołach rzemieślniczych. Całość podzielona na dwie części: Część I obejmuje: Arytmetykę, Algebrę, Geometrię, Solidometrię i Trygonometrię płaską, z tablicami miar i wag oraz zasady Mechaniki, t. j. wykład Statyki, Dynamiki, Aerostatyki i Hydrauliki. Część II. Para i jej zastosowanie; kotły i maszyny parowe, warsztatowe i rolnicze. Dalej opisanie zakładów przemysłowych, bliższy związek z rolnictwem mających: jak młyny, tartaki, olejarnie, gorzelnie, browary, krochmalnie, cukrownie i t. p. Na końcu dodane będą tablice służące do użytku technicznego i Słownik wyrazów technicznych, w języku polskim, niemieckim i francuskim. — Dzieło to wychodzi zeszytami w formacie in 8-vo majori, z 300 przeszło drzeworytami w tekście. Zeszytów wydzie sześć. Pierwszy i drugi zeszyt już wyszedł z druku, a całe dzieło w r. b. ukończone zostanie. Prenumerata wynosi rsr. 3 kop. 60 za całe dzieło, lub częściowo t. j. przy pierwszym zeszycie rsr. 1, przy odbiorze następnych po k. 65, ostatni wydany będzie prenumeratorem bezpłatnie. — Z prowincyi nadsyłający prenumeratę całkowitą pod adresem Wydawcy, otrzymywać będą zeszyty bez kosztów przesyłki zaraz po wyjściu z druku.

Pietraszek J. Żniwarka, jej historia, budowa i użycie. Podręcznik dla techników i rolników. Z 42-ma drzeworytami rsr. 1 kop. 20, z przesyłką rsr. 1 kop. 50.

Pohlens E. Leśnictwo praktyczne. Wykład zastosowany do potrzeb Obywateli, posiadających lub życzących zaprowadzać u siebie lasy (z 47 drzeworytami i planami) 1875, rs. 2, z przesyłką rs. 2 k. 20.

Rosenberg-Lipiński A. Praktyczne rolnictwo, zastosowane do racjonalnej uprawy roli, 2 tomy in 8-vo z portr. Autora i drzeworytami, 1874 i 1875. rs. 4, z przesyłką rs. 4 k. 50.

Prenumeratorki „Opiekuna domowego“ wypisujący książki z tego katalogu wprost od wydawcy kosztów przesyłki nie ponoszą.

Nabywający 10 egzemplarzy jakiego dzieła, otrzymają 11-ty egz. bezpłatnie.

Adres: J. Korzeniowski, Drukarz-Wydawca w Warszawie ulica Śto-Jerska Nr. 12.

Autorowie i nakładcy którzy życzyć sobie będą izby o ich pracach lub wydaniach wzmiankowano w „Opiekunie Domowym“, raczą nadsyłać do Redakcyi egzemplarz dzieła wydanego. Oceny każdej nadesłanej nowości, w jak najkrótszym czasie pomieszczane będą w piśmie naszym.